DZIENNIK

PODRÓŻY

JÓZEFA KOPCIA

WYDANIE 3e



KSIĘGARNIA LUXEMBURGSKA
PARYŻ
16 ULICA DE TOURNON 16.

BIBLIOTEKA LUDOWA POLSKA.

DZIENNIK

PODRÓŻY

JÓZEFA KOPCIA

WYDANIE 3e



PARYŻ
KSIĘGARNIA LUXEMBURGSKA
16 ULICA DE TOURNON 16.

PRZEDMOWA.

Literatura *pielgrzymia* Polski rozwija się w Legionach. Trzeba nam przenieść się myślą bardzo daleko, z Włoch przelecieć na ostatni kraniec północy, w Syberji szukać drugiej zakrajowej literatury polskiej, którą nazwiemy *zsyłkową*.

Liczba Polaków zsyłanych to jest wywożonych w głąb Rossji i na Syberję pomnażała się co dzień. Pisma ich, a nadewszystko uczucia któremi tchnęli, rozkrzewiły się pomału w kraju. Można nawet powiedzieć, że literatura zsyłkowa szła w kierunku prostym myśli narodowej. Znakomici mężowie wieku przeszłego, Załuski, Rzewuski, w Kałudze pisali swoje dzieła; biskup Sołtyk z wygnania przywiózł natchnione swoje odezwy. W tejto literaturze zsyłkowej znajduje się także źródło głębokiego smutku, który później obleka całą literaturę polską. Syberja pochłaniała wszystkich patrjotów opornych rządowi rossyjskiemu, wszystkich podejrzanych o zamiary poruszenia kraju, albo o chęć połączenia się z bracią za granicą. Pierwszy raz wtedy usłyszano w Polsce nazwisko Syberji i odtąd ten wyraz *Sybir*, stał się powszednim, jako ciągle przytomna Polakom groźba. Każdy z nich odważając się na jaki zamiar niebeśpieczny, musi pomyśleć o Sybirze.

Syberja, tak oddalona i zupełnie obca, wchodzi dopiero w dziedzinę poezji polskiej, zastępuje w niej Tartar starożytnych, albo owe piekło wieków średnich, które Dante tak dobrze opisał. W każdej książce tegoczesnej literatury polskiej, znajduje się wzmianka o Syberji; są wyborne opisy męczarni Polaków; mamy nawet jedno dzieło Słowackiego, którego cały przedmiot rozwija się w Syberji: trzeba więc powiedzieć nieco o tym kraju.

Wedle wiadomości podawanych przez jeografów i geologów, kraj ten rozległy między górami Ałtajskiemi, Uralskie-

mi i morzem Białem, zawiera 300,000 mil kwadratowych. Prócz różnych podziałów zmieniających się często, dzieli się na dwa obwody wojenne: Tobolski i Ochocki, każdy z osobna większy od całej Francji. Pierwsza z tych części zdobytą została przez bandę kozacką za czasów Iwana; drugą odkryło i opanowało dwudziestu kilku kozaków przypadkiem zabłąkanych na półwysep Kamczatki. Założyli oni tam stanowisko wojskowe, dali o tem raport rządowi i odtąd Kamczatka weszła w liczbę posiadłości rossyjskich.

Mieszkańcy tych krajów należą do plemienia uralskiego, a znani są pod nazwiskiem Jakutów i Ostjaków. Zostają oni do dziś dnia niepodlegli, o czem prawie nikt nie wie. Rossja przywłaszczyła sobie ziemię, ale ludność zachowała swoje obyczaje i swobody dzikie. Kilkadziesiąt tysięcy Europejczyków osiadło na wielkich drogach dla pilnowania stanowisk wojennych i niektórych portów, a krajowcy tak mało dbają o to, że pułki rossyjskie przechodzą przez ich stepy, jak ryby, że czasem okręt linjowy po wierzchu morza z szumem przepłynie. Czuchczy, prawdziwi Beduini tych pustyń lodowatych, wymieniają u Rossjan na wódkę i tytuń swoje produkta, które urzędnicy rossyjscy będący zarazem kupcami, przyjmują niby jako daninę. Wszystkie ludy tameczne wiedzą to jednak, że jest car, jakiś tajemniczy i straszny władca północy. Gubernatorowie i tłumacze mówiąc z naczelnikami hord o swoim carze, pokazują im herb Rossyi, orła dartego, a ci są przekonani, że to portret cara, że ów car jakiś dziwotwór, istotnie ma dwie głowy, skrzydła, szpony, i trzyma świat w swem ręku. Ponieważ zaś radzi być w pokoju ze wszystkiemi bożyszczami, przynoszą i temu bóstwu mały podatek.

Ludność europejska zamieszkała przy drogach i portach, składa się cała z kryminalistów rossyjskich, z więźniów politycznych i jeńców wojennych rozmaitych narodów, Szwedów, Prusaków, Francuzów, których rząd nie chciał wymienić a nawet choćby chciał, trudno byłoby wyszukać na tej przestrzeni niezmiernej; ale połowę prawie ludności cudzoziemskiej stanowią sami Polacy. Wedle rachunku robionego przez niektórych z rejestrów urzędowych, od początku wojen za Katarzyny i Stanisława Augusta, wywieziono na Sybir przeszło sto tysięcy szlachty polskiej. Szlachta szczególniej dotknięta jest tą plagą. Z wysłanych rzadko kto powraca nazad, i tak upowszechniło się przekonanie o niepodobieństwie powrotu, że skazani żegnając krewnych i przyjaciół, zwykle mówią: « Bogdajbyśmy się nigdy nie zobaczyli. » Ponieważ

bowiem nie masz nadziei spotkać się gdzie indziej jak chyba w Syberji, pozostało tylko życzyć rozstania sie do śmierci.

Jeden z wygnańców jeńców polskich, jenerał Kopeć, który [illegible] podróż z powrotem, i długo mieszkał w Kamczatce na ostatnim krańcu północno-wschodnim stałego lądu, zostawił ciekawe opisanie swoich przygód i widzianych okolic.

Jenerał Kopeć nie był człowiekiem uczonym. W szesnastym roku życia zaciągnął się do kawalerji narodowej jako prosty żołnierz, i służąc lat dwadzieścia przez wszystkie stopnie wyszedł na brygadjera. Był jeszcze majorem kiedy część wojsk polskich razem z oderwanym krajem zabrana przez Rossję, musiała przyjąć znaki carowej Katarzyny, co jak urzędowie mówiono, znaczyło wrócić do wierności poddanych. Podczas powstania Kościuszki, druga brygada litewska, w której Kopeć służył, stała na Ukrainie. Komenda brygady często była przy nim gdyż starszy komendant obowiązku swego nie pilnował. Mając tedy zaufanie towarzyszy broni, na pierwszą wieść o poruszeniach narodowych za kordonem, jako dobry patrjota, pospieszył gdzie go ojczyzna wzywała, ruszył z pod Kijowa i sto mil przedzierając się krajem przez wojsko moskiewskie osadzonym, połączył się nakoniec z naczelnikiem narodowego powstania. W bitwie Maciejowickiej cztery razy ranny i wzięty do niewoli, zaprowadzony naprzód do Kijowa z innymi jeńcami, odłączony potem od nich i sądzony jako buntownik który złamał przysięgę, wysłany został do niższej Kamczatki.

Jenerał Kopeć winien był swoje uwolnienie szczęśliwemu przypadkowi. Zdarzyło mu się w Ochocku jeszcze spotkać uczynnego kupca, który mu przyrzekł przewieść listy do przyjaciół. Kopeć miał głębokie uczucie natury. Po prostu uważa i opisuje wspaniałe widowiska przyrodzenia północy.

Postrzegano już podobieństwo między Kopciem a Silvio Pellico; góruje w nim także wiara religijna i rezygnacja, ale z tą różnicą że nie traci on przez to własnodzielności; poddaje się dopuszczeniu, nie zrzekając się ani usiłowań, ani nadziei. Widać w nim wszakże nowy charakter polaka skruszonego nieszczęściem. Niemcewicz w swoich pamiętnikach zachowuje ciągle nienawiść i gniew dawnych polaków, należy jeszcze do pokolenia starego; Kopeć przeciwnie, uważa się za dotkniętego przez Opatrzność, pisze iż co dzień rano modlił się do Boga o swoje uwolnienie i nie przestawał spodziewać się lepszej przyszłości jeżeli nie dla siebie to przynajmniej dla ojczyzny: ta wytrwałość pokorna i ufna jest już charakterem nowej li-

teratury polskiej, z niej wynika siła ożywiająca nowych poetów narodowych.

Dziennik podróży Kopcia dostarcza nam także postrzeżeń politycznych względem rządu rossyjskiego w Syberji. Jak na przykład wytłumaczyć sobie to panowanie nad ludnością wojowniczą i nad tylu tysiącami nieszczęśliwych jeńców, utrzymywane za pomocą ledwo kilku batalјonów? Kopeć objaśnia to bardzo dobrze opowiadając jeden przykład. Wypadło mu część drogi odbywać z karawaną prowadzoną przez Jakutów, Tunguzów i Ostjaków. Przyłączył się do niej także oficer rossyjski jadący na komendanta do Ochocka: a chociaż nie miał władzy nad tą karawaną, bo to była kupiecka, zaraz ją sobie przywłaszczył. Nie chcąc cierpieć trudów tak ciężkiej podróży i jazdy wierzchem, kazał syberjanom nieść siebie na ręku; w miejscach niebiespiecznych wymagał po nich poświęcenia się dla siebie, jako pan rządził tymi ludźmi nienawykłymi słuchać nikogo. W razie nieposłuszeństwa brał się do szabli i rąbał, kilku pokaleczył, nakoniec rozpędził wszystkich tak że karawana opuszczona przez świtę, trzy dni musiała stać na miejscu, aż dopiero niektórzy kupcy umiejący język jakucki, powłaziwszy na drzewa poczęli zwoływać rozproszonych, zaklinać ich na ich bogów i zdołali uprosić żeby wrócili. Cóż temu człowiekowi nadawało takie uczucie mocy? Oto ufność w potęgę swego cara. Nigdy on nie zwątpił o jego władzy tutaj, i polegając na niej sam czuł się władzcą. Dla czegoż żaden polak nie odważył się tak nastawić się Jakutom jak oficer rossyjski? Dla czego tenże jenerał Kopeć, który tylekroć dał dowody tęgości i męztwa, spokojnie pozwalał jednemu oficerowi rossyjskiemu prowadzić siebie? Pochodziło to ztąd, że nie czuł on nad sobą idei, którąby miała siłę taką jak ta, co się wyobraża w carze rossyjskim.

Wielka to i tajemnicza rzecz ta siła narodowa, która rozchodząc się z jakiegokolwiek punktu środkowego, ożywia każdego członka narodu, nawet mimo jego wiedzy. Tak kiedy konfederacja Barska walczyła za niepodległość, sławny Beniowski znalazł w sobie siłę powstać przeciw rządowi rossyjskiemu, opanować osadę i utrzymać się w niej przez zimę. Podczas powstania Kościuszki wszczynały się poruszenia między polakami zesłanymi na Sybir, chociaż nie wiedzieli o niczem co się działo w ich kraju; po upadku zaś Polski nie objawił się już żaden podobny zamiar. Jeńcy francuzcy, którzy jak trzoda dawali się gnać kilku kozakom, w chwilach zwycięztw Napoleona, pod Lutzen i Bautzen, poczęli knować

spiski i zamyślali wybić się z pod straży. Jakże więc wytłumaczyć to wszystko?

Filozofja tegoczesna, która uważa ludzi tylko jako bryłki zgarnione w ogół i poruszane machiną rządową, nie może nam rozwiązać tej ważnej zagadki. Ale fizyka nowożytna postrzegła już związek tajemny między cząstkami jednej całości organicznej, a ogółem wyobrażającym ideę tych jestestw. Wiadomo naprzykład że soki roślinne, jak wino, w burzeniu się swojem okazują zjawiska odpowiednie tym, jakie dają się widzieć w życiu roślin, z których ten sok czasem przed stu laty był wyciśnięty. Wiadomo że krzew północny przeniesiony na południe, puszcza liście i kwitnie zawsze współcześnie z rozwijaniem się swego gatunku na ziemi ojczystej. Brzoza, to drzewo poetyczne stron naszych, posadzone w Szwajcarji lub we Włoszech, długo na wiosnę stoi nagie wśród zazielenia-łych migdałów i kasztanów; zauważano nawet, że prędsze albo późniejsze ciepło pory roku nie działa na nie wedle przypadku w tych krajach, ale tak jak zachodzi pod rodzinnym niebem. Nie możnaż tedy byłoby uczynić ztąd wniosku, że kiedy tak mało ożywione jestestwa łączy wspólność ukryta, ludzie, te stworzenia posiadające największą i najsilniejszą masę życia, są związani z sobą daleko mocniej i głębiej? Teraz dopiero dają się pojąć owe wyrazy pieśni Legjonistów: « Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy. » Każdy bowiem człowiek, mający w sobie iskrę narodową, gdziekolwiek się znajdzie, skoro myśli, czuje, działa, może być pewnym, że w tejże chwili miljony współrodaków jego myślą, czują i działają podobnież co on. Ta spojnia niewidoma związuje każdą narodowość. Narodowość w najwznioślejszem rozumieniu tego wyrazu, znaczy posłannictwo narodu, znaczy powołanie pewnego zbioru ludzi wezwanych od Boga do spełnienia zamierzonego dzieła, sprzężonych obowiązkiem wzajemnego zastępowania się w pracy, połączonych tem prawem współżycia, które postrzegamy w historji naturalnej jestestw różnych i w historji dziejów ludzkich.

Jenerał Kopeć opowiada nam o drobnostkach życia domowego, o których nigdzie więcej wiadomości znaleźć nie można. Przypomnijmy sobie teraz pamiętniki wesołego naszego Paska: jaka to różnica w charakterze tych dwóch ludzi! Pasek, który nigdy nie płacze, któremu wśród niebeśpieczeństw i przygod najcięższych, nawija się zawsze na myśl jakiś żart pocieszny, zdaje się należeć do innego narodu. Kopciowi dobyły się już łzy z piersi; więcej muna myśli religja i moral-

ność, więcej zajmuje się przyszłością ojczyzny, kiedy tamtego obchodziła tylko obecność. Taką to odmianę długie nieszczęścia sprawiły już w Polakach.

Kopeć za powrotem do kraju opowiadał często swoje widzenia i co w nich objawiło się jemu względem przyszłych losów Polski, ale otoczony generacją nie wierzącą, gdy całą tę historję obracano w żarty, nie śmiał napisać w swoim dzienniku. Zrobiliśmy już dawniej uwagę, że Opatrzność karżąc rzeczpospolitą polską za nadużycie życia politycznego, za niepomiarkowane wielomówstwo, skazała ją na długie i okropne milczenie. Tegoż samego środka użyła ona i przeciw wybujałemu rozwijaniu intelligencji. Zsyłka na Sybir jest dalszym ciągiem tej metody obranej przez Opatrzność dla poprawy polskiego szczepu słowian. Straszna, głucha, Syberja jest razem krainą gdzie się życie duchowe bardzo natęża. Wygnańcy i odcięci od społeczeństwa, skazani żyć samotnie, zgłębiać własnego ducha aż do dna, naturalnie muszą ciągle zastanawiać się nad przeszłością, roztrząsać swoje sumienie. Historja jenerała Kopcia ukazuje się w krótce powtórzoną w historji Polski. Niezadługo potem zbieg okoliczności zmusił znaczną część narodu przejść kolej podobną do jego fantastycznej przygody : zbadać dzieje swojego kraju, zrobić rachunek sumienia narodowego, całe życie starodawnego ludu ujrzeć w jednem widzeniu od dzieciństwa do lat najpóźniejszych. Życie pustelnicze, życie z naturą i z sobą samym, słowem życie takie jak wygnańców na Syberji, odbija się dopiero w literaturze polskiej. Wszystkie te nieszczęścia spadłe na Polaków zdają się mieć to przeznaczenie, żeby ich oderwać od świata, zniszczyć wszystkie węzły które dawniej przywiązywały ich do siły materjalnej i intellektualnej, do wszystkiego co stanowi potęgę ziemską, a znaglić, aby weszli w siebie samych, z siebie samych wydobywali siłę.

Ten wpływ moralny daje się czuć i w życiu politycznem. Można powiedzieć, że Syberja zbliżyła różne klasy narodu, poczęła ucierać przedziały stanów. Pan możny, szlachcic i włościanin, muszą tam pracować zarówno, polują razem, żyją pod jednym dachem. Pycha, ten występek szlachty polskiej, to uczucie wyższości swojej nad każdego innego człowieka, odbiera szczególniej karę w wygnańcach. Szlachcic, ów podług Reja najdoskonalszy utwór na ziemi, traci tam nietylko wszystkie swoje przywileje, ale nawet imię, staje się *numerem*. Jenerał Kopeć, potomek znakomitego rodu, nie mógł już czasem przypomnieć swego nazwiska.

Nieszczęścia wygnania zbliżyły także naród Polski z innemi szczepami słowian. Nie byłoby inaczej sposobu zbliżyć Polaków do Rossjan. Naród niepodległy, wolny, dumny ze swoich swobód, cóż mógł mieć wspólnego z narodem niewolniczym, uciśnionym, nawykłym do jarzma od wieków! Jednych i drugich Opatrzność przywiodła tutaj do szukania nad panem ziemskim wyższego Pana, do spotkania się w tem samem uczuciu potrzeby pomocy Boskiej.

ADAM MICKIEWICZ.

Literatura Słowiańska.
Lekcje 6 *i* 10 *maja* 1842 *r.*

NB. Pierwsza edycja niniejszego dzieła wyszła w Wrocławiu 1837 r., pod tytułem: *Dziennik podróży Józefa Kopcia przez całą wzdłuż Azję, lotem od portu Ochocka oceanem przez wyspy Kurylskie do niższéj Kamczatki, a ztamtąd na powrót do tegoż portu na psach i jeleniach;* i zawierała w sobie następującą przemowę wydawcy:

Autor téj podróży, Brygadjer Kopeć, kreśląc w niéj zdarzenia swego życia zamilczał to, co się domu jego i rodziny tyczy, i tém samem włożył niejaki na nas obowiązek zapełnienia téj, że tak powiem, szczerby w jego dziele.

Dom Kopciów, herbu Kroje, w Wielkiem Księztwie Litewskiem, bardzo starożytny, początek swój od Książąt Twerskich wywodzi. Dom ten przodkami się szczyci, którzy zasługami i cnotą torując sobie drogę do znaczenia, dostojne urzędy w kraju piastowali i z najpierwszemi rodzinami w związki familijne wchodzili. Wspominamy tu między innymi Wasila Kopcia, który od Stanów Litewskich odprawował w r. 1563. poselstwo do Stanów Koronnych i przyczynił się do skojarzenia Unji między dwoma narodami, które odtąd wiernie zawartemu z sobą braterstwu, szczęście i klęski nieodstępnie dzieliły. Syn tego Wasila Łukasz, Kasztelan Brzesko-

Litewski, pojął za żonę Katarzynę Firlejównę, Wojewodzianke Krakowską, i tym sposobem połączył się z pierwszemi rodzinami w Koronie. Brat jego Filon Kopeć miał za sobą Chreptowiczównę. Barbara Chodkiewiczówna, Kasztelanka Trocka, była za Wasilem Kopciem, Kasztelanem Nowogrodzkim. Córka tegoż Wasila Anna zaślubioną była Pawłowi Sapiesze, Wojewodzie Wileńskiemu, Hetmanowi Litewskiemu. Syn Wasila, Jan Karol Kopeć, był Wojewodą Połockim i zaślubił sobie Maryę Lukrecyę Księżnę de Strozzi, wdowę po Aleksandrze Radziwille, Marszałku Litewskim. Więcej jeszcze podobno szczyci się dom naszego Autora z tego,że Kopciówna była matką Księdza Wołowicza, który wyniesiony na Biskupstwo Wileńskie w roku tysiąc sześćset szesnastym dał z siebie przykład wszystkich cnót, jakiemi się Kapłan i Obywatel zdobi.

Wspomniawszy o rodowodzie Autora naszego,powiedzieć nam jeszcze kilka słów należy o jego dziele. Opowiada on stylem dobitnym, lubo nie zawsze czystym, własne i towarzyszów swoich cierpienia i niedolę. Czytając podróż jego, głębokiem ku Niemu uszanowaniem przejęci zostaliśmy z powodu rzadkiego umiarkowania, które się na każdej stronnicy jego dzieła maluje. Kopeć nie oburza się nad złem obchodzeniem się z nim; hasłem jego jest: tak Opatrzność chciała! Do jej świętej woli stosując się we wszystkiém spokojnie znosi największe cierpienia.

Czytając jego podróż mimowolnie nam się na myśl nasuwa cnotliwy Silvio Pellico. To samo w dziełach obydwóch spostrzegamy umiarkowanie, to samo zdanie się na wolę Najwyższego, i te same czyste i spokojne dusze.

DZIENNIK PODRÓŻY

JÓZEFA KOPCIA.

Multum ille et terris jactatus et alto
Vi superum, sævæ memorem Junonis ob iram.
Virg. Æneid. Liber. I, v. 3.

Wiele on był na lądzie i morzu trapiony
Wolą niebian, i gniewem pamiętnym Junony.
Wirg. Eneid. księga I, w 3.

ROZDZIAŁ I.

ZAWÓD WOJSKOWY.

Urodziłem się w roku 1762, miesiąca Maja dnia piętnastego w Litewskiej prowincji, powiecie Pińskim. Ojciec mój żył do lat dziewięćdziesiąt siedm; siedział w niewoli w Gdańsku, że był w partji Leszczyńskiego: przez przypadek od konia faworyta uderzony, umarł. Miał w tejże prowincji majątek mierny od Pradziadów, wychowywał mnie w domu, ucząc tylko języka narodowego, łaciny i geometrji.

Gdy kończyłem lat szesnaście oddany byłem do wojska Kawalerji narodowej za prostego żołnierza, pod komendą Jerzego Kołłątaja i temuż byłem powierzony w dozór. Był to człowiek w pewnym wieku, Polak sprowadzony z Saxonji, dla uczenia taktyki i służb wojskowych, który odbywał wojnę siedmioletnią pod Fryderykiem Wielkim Królem Pruskim, w randze pułkownika.

A tak idąc stopniami od Gemejna (szeregowego) Unteroficera, Towarzysza, Namiestnika Chorążego; Podporucznika, Porucznika, Majora, Wice-Brygadjera, Brygadjera, przez lat dwadzieścia służąc, z trudnością dostępowałem stopnia, dla tego że majątek był szczupły, a rangi podług zwyczaju (w tamtych czasach) w Polsce były kupowane, a bardziej jeszcze, że Magnaci przez intrygę wchodzili, i zabierali stopnie zdatnym i zasłużonym.

Doświadczenie moje było pierwsze kiedy Polskie Wojska stały nad granicą Dniestrem broniąc napadu hordzie Tureckiej dopóki wojsko moskiewskie, pod komendą Rumiancowa a później Potemkina, nie przeszło Dniestru.

W roku 1792. gdy Rossja zajęła się wojną z Turcyą natenczas Naród polski zaczął myśleć o sobie i uchwalił sto tysięcy wojska, do której liczby mało już brakło.

Ochotnika i wolenterów dwa razy tyle było : cały Naród szedł z ofiarą. Nieśli szlachta i pomniejsi majątek i życie, lecz byli i niechętni, którzy zwlekali sejmy, zaprzątali bagatelnemi projektami, sądzeniem o żydach, umyślnie, aby zbawienne projekta z sejmu konstytucyjnego uzbrajania siły narodowej do skutku nie dochodziły.

A tak przez lat cztery szedł czas bezczynnie. Rossja spiesznie kończy wojnę z Turczynem i nachodzi kraje Rzeczypospolitéj polskiéj w roku 1792.

Przyłączyli się do Rossjan i źli ludzie, a ci niszczą kraj, palą , lud zabierają, obywateli wiążą i rozpraszają. Zachowani tylko ci, którzy wspólnie z nimi myśleli.

Następował nieprzyjaciel w granice, lecz nie kazano bronić przechodu a magazyny przygotowane kazano zostawić nieprzyjacielowi, cofnęły się nasze wojska prawie do środka kraju, wojska nasze głodne, bośmy wszystko zostawiali nieprzyjacielowi, gdzie pozycja była dla nas dobra ztamtąd rejterować kazano, gdzie przeciwnie tam bić się byliśmy przymuszeni.

Wojska Litewskie miały komendantów Jmć Xięcia Wirtemberskiego, Zabiełłę i Judyckiego. Nastąpiło armistycjum, Sejm Targowicki; zabór kraju i kilkanaście tysięcy dobornego żołnierza z krajem razem poszło w niewolę Moskiewską, którzy później muszą przysięgać i wnijść w służbę Imperatorowéj Katarzyny.

Nastąpiły na tym Sejmie frymarki tak urzędów cywilnych jako i wojskowych. Jaki taki głosił się samowładnym; zabierał kassy wojskowe, a partyzanci Moskiewscy kazali wojska redukować w pozostałej części Polski usiłując ostatnie siły ująć krajowi.

Wojskowi, którzy nie służąc pozabierali rangi, niektórzy po razy trzy przedawali, raz po swoich korpusach, drugi raz w Wilnie a trzeci raz do Rekompensów podali się i cywilne urzędy przedawali i wydawali po gorliwych, których z kraju powypędzali.

Jenerał Kościuszko na hasło dźwigającéj się ojczyzny

swojej powrócił z Ameryki, który walcząc o wolność pod Waszyngtonem, z pod przemocy tyranów Anglików wysłużył część ziemi (z której już mógł się wyżywić) i był spokojnym: na hasło swojej ojczyzny powraca i pełni powinność świętą. Pod Dubienką w sześć tysięcy Polaków oparł się Kochowskiemu, dowódzcy wojska Rossyjskiego (w liczbie ośmnaście tysięcy). Między zabraną liczbą wojska Polskiego do Rossji razem z krajem, byłem i ja zabrany z brygadą drugą Litewską, w randze Majora. Komendantem był moim natenczas Słomiński w służbie kawaleryjskiej dość umiejętny. Był w wojsku Saskim i w siedmioletniej wojnie przeciw Fryderykowi Wielkiemu. Komenda Brygady całej była często przy mnie, gdyż Komendant nie pilnował, ja zaś miałem w wojsku zaufanie, bo służąc z nimi przez lat dwadzieścia od Szeregowego był mój sposób myślenia dobrze im znany.

W takim tedy stanie nieszczęśliwym będąc zabranym pod przemoc obcego panowania, opłakiwałem los ojczyzny mojej, aż kiedy w roku 1794. zaczął się przebijać odgłos przez zastawione zagrody wojskiem i kordonem z pozostałej części ziemi wolnych Polaków do wojska naszego zabranego, że ojczyzna woła, powstaje z gruzów i żąda ratunku; na to czuły i wierny syn ojczyzny swojej z Brygadą poszedłem więc sto mil na przebój z pod Kijowa krajem już zabranym i w koło opasanym przez obce wojska. Za mną w kilkanaście dni ruszył z Brygadą Jenerał Wyżkowski, porzuciwszy też swojego szefa: później Jenerał Łaziński przez Wołoszczyznę wszedł do Galicji gdzie nie znalazłszy wojsk austrjackich i wypocząwszy czas jakiś udał się ku Warszawie i złączył się z wojskiem narodowem. Z głębokiej Ukrainy szło za mną traktem moim do trzech tysięcy kawalerji, którzy też poporzucali Komendantów swoich, a o których ja nie wiedziałem. Nieszczęściem, że nad rzeką Słuczą zostali rozbici; część bardzo mała uszła, która mnie dopędziła i złączyła się. Przebiwszy się przez tyle wojska obcego obronną ręką w utarczkach ustawicznych, stanąłem na wzrost ojczyzny mojej i złączyłem się z najwyższym Naczelnikiem, wybranym od narodu polskiego, Kościuszką, pod którym odbywając powinność świętą w obronie ojczyzny swojej, trafiłem w końcu, żem się stał smutnym więźniem dzikiej i odludnej niższej Kamczatki, wzięty raniony w krwawej bitwie Maciejowic.

O tej nieszczęśliwej Maciejowickiéj batalji lubo tyle jest detaljów, jednak ja moją opinję położę, chociaż może nie bę-

dzie zgodną z innemi. Trzema dniami, gdyśmy się zbliżyli ku Fersenowi, którego przeprawy Jenerał Poniński wstrzymać nie zdołał, Fersen jeszcze mieć komunikacji nie mógł, ani złączyć się od Brześcia z Suwarowem, pospieszaliśmy czemprędzej, aby go przed Wisłą i z drugiej strony Wieprza w Widłach spotkać. Szło nam najwięcej o język, w jakiej sile znajdował się nieprzyjaciel, co się wszystko stało podług naszego życzenia. Dwoma dniami przed nieszczęśliwą akcją, posłany odemnie oficer z komendą pod nieprzyjacielski obóz, schwytał Majora od sztabu jeneralnego i dwudziestu jeńców; od którego powzięliśmy zupełną wiadomość o mocy nieprzyjaciela. Wyznał bowiem, że nieprzyjaciel miał szesnaście tysięcy do boju, szesnaście sztuk armat kalibru wielkiego : my zaś nie mieliśmy nad siedm tysięcy, jedną dużą armatę a mniejszych dwadzieścia. Poszliśmy ku nieprzyjacielowi, Poniński o mil kilka stojący w pięć tysięcy dobornego wojska i kilkanaście armat odebrał rozkaz, aby na drugi dzień posuwał się za naszym obozem, gdzie na lewe skrzydło miał punkt wyznaczony, a kędy nam Denisów Jenerał Moskiewski później wdarł się. Zbliżyliśmy się już późno ku nieprzyjacielowi awangardę jego spędziwszy, natarliśmy aż ku samemu obozowi.

Noc ciemna nie dała rozpoznać sytuacji miejsca, oczekiwaliśmy dnia i posłany był powtórny kurjer z rozkazem do Ponińskiego.

Nieprzyjaciel w wiliję akcyi dostał naszych jeńców oficerów, i dowiedział się o zamiarach, że kiedy nadejdzie sukurs z Ponińskim, będzie nieprzyjaciel atakowany. Użył więc ostatniego ażardu, nie dał czekać, ażbyśmy się wzmocnili sukursem; uprzedził nasze zamiary, i téj samej nocy starał się od Jenerała Ponińskiego poprzecinać pasy dla korespondencji, chociaż dla tego Poniński dwa rozkazy odebral, pierwszy aby nazajutrz przybywał i łączył się; powtórnie, aby najspiesznièj maszerował. Jenerał Poninski nie szedł najbliższą drogą porysowaną po nas, lecz dla ogłodzonego kraju nadłożył dwie mile i nie przybył na sukurs. Téj samèj nocy pod Jenerałem Denisowem zaczął się przeprawiać nieprzyjaciel w bok lewego skrzydła naszego, na ten punkt gdzie sukurs miał przyjść. Byliśmy pewni, że dla trzęsawicy i błota niedostępnego nieprzyjaciel tém miejscem przejść nie będzie mógł, lecz ślepa subordynacja i ażard czegoż dokazać nie potrafi. Mościli Moskale faszyny, różne drzewa, nawet tłumoki swoje i trzy armaty utopili. Przed świtem zaczął

się z dwóch stron atak: najprzód od lewego skrzydła Denisów, który się w nocy przeprawił w cztery tysiące i natarł, lecz odparty usunął się ku lewemu skrzydłu i zbliżył się ku całej forsie przeciw Naczelnikowi Kościuszce i oba prawie wojska stały w kroku na ogień karabinowy z kartaczowym i przez sześć godzin nieustanny ogień trwał z obu stron. Trzy razy odpychaliśmy bagnetami nieprzyjacielskie ściany, lecz dwa razy przewyższająca siła w ludziach i armatach przyniosła dla nas skutek nieszczęśliwy bo wszystko legło ofiarą na placu.

Prawe skrzydło najprzód złamane zostało, gdzie zabrany Jenerał Sierakowski, Kamiński i Kniaziewicz. Naczelnik Kościuszko udał się na lewe, gdzie i ja z częścią brygady poszedłem na przebój, ale spotkany od świeżej kawalerij pobity i cztery razy raniony razem z Kościuszką zostałem wzięty. Juljan Niemcewicz raniony z Kościuszką posłani do Petersburga. Gdzie i Jenerał Fiszer był wzięty a ja posłany do niższej Kamczatki.

Za przyczynę przegranej kładę kilka uwag moich:

1mo. Że nieprzyjaciel był od nas dwa razy silniejszy.

2do. Że uprzedził nasz atak nie dozwalając nam doczekać się dnia dla zmienienia pozycji.

3tio. Nie dał nam połączyć się z sukursem.

4to. Przyśliśmy w nocy na pozycję i nie mogliśmy obwarować miejsc mocną strażą.

O powstaniu drugiem narodowem mało opisuję bo byłem wzięty z placu Batalji w niewolę,

Gdyby Denisów nie był przeszedł w tę stronę, co było początkiem naszej przegranej, bylibyśmy mogli ku sukursowi się rejterować, a w ten czas przy nas była wygrana jako się później pokazało po nieszczęśliwej akcji, że nieprzyjaciel miał po jednym tylko ładunku. Już tak daleko broń była rozpalona, że tylko na bagnetach się skończyło.

ROZDZIAŁ II.

NIEWOLA.

Gdym był wieziony z placu bitwy z tylu ranionymi, ponieważ poranki już były zimne odzienia brakło, bo byliśmy odarci do nagości, poruszeni jednak ludzkością dali rannym i zdrowym skóry bydlęce brudne i mokre, gdyż tego mieli podostatkiem w stosach ułożonych z zabranego i zarznię-

tego bydła. Był wówczas Komendantem nad niewolnikami Jenerał Chruszczew i Bagrejow brygadjer. Marodery nic nie zostawiali po domach, zabierali stada bydła, zbierali miedź i co tylko znaleźli. W wielu bardzo miejscach, same Panie po chłopsku ubrane po swoich wsiach między poddanymi przebywały; w wielu też miejscach męczono komisarzów lub ekonomów przez Panów zostawionych, aby wydawali gdzie są sprzęty pochowane.

Przyprowadzony do dawnego z miast polskich Kijowa, prowadzony byłem wspólnie z trzema naszymi Jenerałami, którzy byli zabrani w tejże batalji:

1mo. Jenerał Sierakowski,
2do. Kniaziewicz,
3tio. Kamiński.

Ci zaraz po przybyciu do Kijowa zostali wolnymi jako jeńcy z pozostałej Polski zabrani, a mnie przywłaszczyli za poddanego jako wyszłego z ich kraju z wojskiem buntownika. Natychmiast zostałem odłączony od moich kolegów, osadzony pod ścisłą strażą w starym i wilgotnym gmachu. Już nie miałem żadnego towarzystwa; ani też warta chciała do mnie gadać ani odpowiadać. W takiej sytuacji byłem utrzymywany przez dni kilka. Oficer garnizonowy miasta, mający inspekcję nademną, przyprowadził żonę swoją, abym u niej jej własnej roboty kupił kapuszon, przymuszony byłem ostatnie kilka rubli oddać, aby serce jego zmiękczyć ale to nic nie pomogło. Kiedym był wieziony przez Kijów postrzegłem moich żołnierzy przy publicznych robotach i wielu znajomych dystyngowanych szlachty, postrzegłem bardzo wiele rabunków w stosach leżących, broń, armaty i wiele innych znaków wojennych; niech tu każdy czuły wchodzi co to był dla mnie za widok okropny?

Szóstego dnia w nocy porwany ze snu w kibitkę, która miała model kufra obita w koło skórami a w środku żelazną blachą, z boku tylko okienko dla podania wody lub jedzenia w spodzie druga dziura dla spadu.

Ten kufer był bez żadnego siedzenia, ani jeszcze byłem z ran wyleczony, dawano mnie wór z słomą i włożony był na mnie tytuł aresztanta sekretnego z numerem tylko bez imienia. Jest to u nich w takim rodzaju aresztant największy kryminalista, z którym nikt pod największą karą nie może rozmawiać; ani też wiedzieć jak się nazywa i za co wzięty. Z Kijowa do Smoleńska byłem przywieziony siódmego dnia dniem i nocą. Na zmianie poczt wszędy się lud zbiegał dla

ciekawości, co by to było zamkniętem w tym kufrze, ile że dwóch zbrojnych na wierzchołku tej kibitki siedziało. Szóstego dnia posłyszałem turkot bruku, był to Smoleńsk. Wysadzony w nocy przy jakimsiś ogromnym i starym murze, usłyszałem szczęk broni, postrzegłem tłumy żołnierzy i byłem prowadzony długim a wąskim korytarzem i osadzony w jednej wąskiej framudze przy straży kilku żołnierzy i przy świetle lampy czarnej. Były tam dwa okna z kratami żelaznemi przebijane czarnemi deskami, aby nigdzi dzienne światło wchodzić nie mogło. Trzeba było zgadywać noc lub dzień; warta ani słowa nigdy do mnie m[illegible] nie chciała. Smoleńsk (ach, wzdrygam się wspomnieniem i tytułu mu dać nie potrafię!) było to miesce pożerające różnemi nieszczęściami i męczarnią naszych rodaków, w którém tyle tysięcy poczciwych polaków było dręczonych : wiele z nędzy, wiele z wilgotnych murów, wiele podręczonych umyślnie poginęło.

Ja w tej mojej framudze przebywam. Pytam się kiedy jest noc a kiedy dzień? ale mi moja straż nie odpowiada; tylko po tem dystyngowałem dzień od nocy, kiedy mi jeść przynoszono. Nie dawano mi ani grabek, ani noża, i wszędy ze ścian wyjmowano gwoździe, żebym sobie śmierci nie zadał. Straszyli, że mnie jeszcze coś gorszego czeka, lecz w końcu już z temi strachami i bojaźnią oswoiłem się. Kiedy się wszystko uciszyło, sypiać nie mogłem : słyszeć mi się zdawało po za innemi murami obok mnie jakieś różne bicia, katowania i szczęk kajdan, co bardziéj mnie jeszcze wybijało ze snu; tysiąc imaginacji roiło się, abym ja na tę kolej nie przyszedł, ale szczęściem dowiedziałem się, że to byli kryminaliści i był razem złączony dom poprawy.

Myśl zawsze w trwodze : nie wiem co mnie w tém miejscu czeka. Wiem, że tylu siedzi Polaków, a nie mogę wiedzieć, którzy są co w ziemi robią i jak są utrzymywani ; czy były już egzekucje jakie z nimi, dość że w takiej niewiadomości i niepewności utrzymywany byłem przez cztery tygodnie. Na początku drugiego tygodnia przybywa Komendant do mojego więzienia, który nad wszystkimi niewolnikami miał dozór. Nie był to człowiek, ale tygrys czyli zwierz drapieżny bez żadnej moralności : on się przykładał do nędz i nieszczęść biednych więzionych Polaków. Był to moskal rodowity. Tenże znany człowiek zabiera mnie w swój powóz, wiezie ale ja nie wiem dokąd, rozumiałem że na śmierć. Długi czas nie widziałem światła, co mi się wszystko śmiesznie wydawało, mniemałem, że całe miasto w koło lata i ja z powozem. A gdy

obwiózł mnie [illegible] po wielu ulicach, w końcu przywiózł mnie do wysokiego i wspaniałego domu, powiadając, że to jest Imperatorowej Dworec i mnie tu dla rozrywki przywozi.

Gdy mnie wprowadził do jednej wielkiej sali, znalazłem wkońcu, że to było sądownictwo, do którego mnie kazano zbliżyć się, a że byłem jeszcze słaby z ran niewygojonych kazano mi dać krzesło i usiąść. Zapytany byłem najprzód od nich o mojem urodzeniu, religji, latach i całym ciągu życia. Szczęściem mojem było, żem był ostrzeżony od Kapitana Mało-Rossjana, który mnie wiózł z Kijowa do Smoleńska, nauczył mnie, aby zawsze jednego słowa i eksplikacji trzymać się i mimo zbijania i strachów zawsze trzymać się jednego.

1o Byłem pytany czy przysięgałem? Odpowiedziałem, że w ciągu służby mojej dwudziestoletniej kilka razy przysięgałem, niby nie rozumiejąc czego oni chcą.

2o Zapytano mnie się znowu : ale ostatnia przysięga jaka była? ja jeszcze nie rozumiem — odpowiadam że ostatnia była najważniejsza, że ojczyzny mojej do ostatniej kropli krwi bronić i zastawiać będę — rzekli oni, ale nie o to się pytamy : ale Monarchini naszej czy przysięgałeś? Odpowiedziałem, że to był gwałt i przemoc. Zapytano mnie się : a to masz za rzecz małą? Odpowiedziałem : że miłość ojczyzny mojej kazała na to zapomnieć, na co oni oburzeni zostali i serjo z miejsc swoich powstali. Kazano mię w tym momencie odwieść do mojego pierwszego więzienia. Na trzeci dzień stawią powtórnie przed tym samym sądem i zadają nowe kwestje.

1o Kto mnie uwiadomił o rewolucji i kto ze mną był w porozumieniu z obywateli kraju zabranego, albo kto mi dawał pomoc i kto o tém wiedział. Odpowiadałem zawsze tak podług honoru. Niech mi tu największe skarby i tysiąc śmierci obejmią, człowiek jestem z honorem, niewinnych nie mogę kompromitować, że nikt z obywateli o tem nie wiedział i żaden mi nie dawał pomocy, bom mało jeszcze obywatelom był znajomy. I że ja z litewskiej prowincji do tego kraju z brygadą przybyłem, ale miłość ojczyzny, rozpacz i ażard wskazały mi drogę. — Podniosłem mój głos do prezydującego z czułością, że jestem uczciwy oficer wzięty na placu boju, raniony a tak jestem po barbarzyńsku traktowany i skończyła się ze mną inkwizycja. Kazano mi samemu napisać całą awanturę i przeniesiono mnie już z pierwszej ciemnicy do jednej ogromnej sali, w której było czterdzieści okien dużych i cztery piece. Była to sala, gdzie co lat kilka zbierała się szlachta na obrady wyborów czyli sejmików. Zimno do niewytrzyma-

nia; 30 kopiejek miedzianych na dzień, z których trzeba było wystarczyć na życie, odzienie i aptekę. Drzewa kazałem mojej warcie po trzy kawałki wkładać w piec: jak się nagrzało kilka cegieł wchodziłem w piec aby się ogrzać. Sposób pieców był taki, że ze środka palono. Zachorowałem w końcu tak śmiertelnie, że nie obiecywałem sobie życia dla zimna, głodu i nędzy. Prosiłem przez Komendanta do spowiedzi, ile że w tem miejscu była katolicka kaplica i Bernardyn przez niektórych Polaków dawniej zabranych był utrzymywany. Nie pozwolono mi i księdza z przyczyny, aby na spowiedzi nie komunikować się w jakich sekretach lub nie zażywać jakiej rady. Przychodziło już do tego, że umierać bez spowiedzi byłem przymuszony, lecz Opatrzność zachowała lubo na gorsze dla mnie, w przebywaniu znoszenia tylu następnych okropnych doświadczeń. Po kilku dniach poruszeni ludzkością, widzieli że z samego zimna potrzeba było życie kończyć, przenieśli mnie z tej ogromnej sali do jednego starego domku murowanego za żelazną kratą, gdzie już było cieplej. Widok z mojego okna był na cmentarz; bawiły mnie często pogrzeby i śpiewania popów.

Drugi spektakl miałem, że w tym klasztorze Czernice czyli mniszki, często widywałem jak spuszczały z swoich okien drabiny do wychodzenia z klauzur; jedna drugiej pomagały. O tych pobożnych mniszkach wiele innych zdarzeń słyszałem z opowiadania mojej warty. Miałem już w tem trzeciem więzieniu dodanego unteroficera i czterech gemejnów, która to warta co sześć dni odmieniała się. Jeśli na szczęście moje jaki poczciwy był unteroficer, to mi wolno było do nich przemawiać i onym do mnie wzajemnie: a za to, że czasem wolno choć przez kratę patrzeć, trzeba było zapłacić część na żywność mi dawanych pieniędzy i to zaklinano mnie, abym się czasem nie wydał przed Komendantem, że ze mną rozmawiają bo mnie wypytywał raz w tydzień. Było w tem mieście do kilku tysięcy Polaków więźniów: część za opinję krajową część z krajów dawnych zabranych w niewolę. Każdy uczciwie był utrzymywany, podług przepisów, ja tylko prawie jeden z rodzaju więźniów dystyngowałem się jako ten, który zbuntowałem wojska i wyszedłem na czele ich i biłem się z Moskalami, skąd za mną inne regimenta i brygady ruszyły. Dawano mi dwie potrawy na objad, a jednę na kolację, a resztę pieniędzy na drwa i aptekę. Lampa w izbie była ze skarbu, która regularnie całą noc palić się musiała. Oskarżony zostałem przez niegodziwego unteroficera, że zro-

biłem sobie [illegible] chustki i przez nienawiść [illegible] się od nich. Na drugą noc postrzegam, że na moich nogach siedzi żołnierz : porywam się i pytam czego tu siedzisz? odpowiada mi, że mu kazano dzień i noc na mnie patrzeć, dla czego ich nie lubię, co dla mnie było największem tyraństwem. Codzień przychodząca warta anonsowała mi, chociażem się ich o nic nie pytał, że tego dnia tylu Polaków zaknutowali, tylu powiesili, co fałszem było ale umyślnie mi tak kazano gadać.

Do tego miasta przypędzono razem do trzech tysięcy lub więcej żołnierzy część z dezarmowanych wojsk, które były do ich kraju wzięte, część w bataljach różnych zabrana. Przypędzono tych nieszczęśliwych nagich, bosych, w największe mrozy z których połowa umarła gdy byli prowadzeni, część znaczna posłana została na okręty. Kilkaset jednej nocy prawie umarło, gdy będąc zapędzeni do nowych murów świeżo napalonych, wszyscy prawie zagorzeli, z których bardzo mała liczba została się.

Byłem chory w Smoleńsku, i gdy doktór już zadecydował, że żyć nie mogę, odwiedził mnie Komendant i dla skonsolowania mi powiedział, że jest tu mój kamerdyner Szmigielski, który już trzy miesiące siedział, a ja o niczem nie wiedziałem. Ten poczciwy człowiek po batalji Maciejowickiej wziąwszy paszport u Jenerała Suwarowa i ze czterysta dukatów, jeździł po Moskwie i innych fortecach szukając mnie i przez życzliwość chciał być przy mnie. Przysłał do mnie Komendant onego, odebrawszy jemu pieniądze, ponieważ aresztant (podług nich) mieć tego nie powinien. Z tych pieniędzy zabranych mój wierny kamerdyner stracił do sta dukatów na różne podróże, zostało mi się trzysta z których Komendant do mojej niewolniczej gaży po kilka rubli dodawał. Już zacząłem mieć lepsze wygody i cieplejszą stancję i aptekę miałem już czem zapłacić.

W czwartym miesiącu mego pobytu w Smoleńsku przyszedł rozkaz Katarzyny, aby wszystkich jeńców Polaków rozwieść na różne miejsca, dla mnie zaś ukaz oddzielny żeby imie moje odjąć, dać tylko numer więźnia, pod tytułem bezimiennego, odłączyć od wszelkiego towarzystwa ludzi, aż do dalszego rozkazania i posłać do niższej Kamczatki.

Po oznajmionym ukazie Imperatorowej Katarzyny drugiej, rozłączono mnie z moim kamerdynerem Szmigielskim, z którym co się działo lub dzieje, dotychczas nie mam wiadomości.

ROZDZIAŁ III.

PODRÓŻ DO IRKUCKA.

Téj saméj nocy porwany zostałem do kibitki, kilku zbrojnych wsiadło żołnierzy i byłem wieziony w dalsze przeznaczenie; przez pięć dni i nocy byłem wciąż wieziony, szóstego dnia nocowaliśmy na poczcie, ale mnie nikt nie widział ani ja nikogo, żaden z warty ze mną nie gadał, oficer był do mojego konwoju dodany z czterema gemejnami i unteroficerem, szło mi najwięcéj o rzecz wiedzieć dokąd mnie wiozą.

Jednego czasu na przemianie poczty gdy wszyscy odeśli od powozu za końmi i kupnem potrzeb swoich, został się tylko przy mnie staruszek żołnierz. Zacząłem go prosić i dałem kilka piętaków, aby mi powiedział dokąd wieziony jestem, ten długo naociągawszy się z bojaźnią i strachem powiedział, że tylko wie, że do Irkucka są wyznaczeni. Już cokolwiek byłem spokojniejszy rozumiejąc, że na Irkucku się skończy do którego przybywszy dopiero zacząłem nowy wojaż i doświadczenie. Dziesiątego dnia ze Smoleńska stanęliśmy w stołecznem mieście Moskwie. Nigdy ze mną oficer ani żołnierz nie chcieli gadać, zawsze człowiek coś sobie niepewnego wystawiał, jak tylko dowożono do którego miasta, zdawało się, że już nastąpi egzekucja śmierci, bo się u nich tak dzieje, że niewolników rozsyłają kryminalistów i tam z nimi robią egzekucję. W Moskwie bawiłem trzy dni, ale miasta nie widziałem, zawsze osadzony byłem w jakimsiś oddzielnym zakącie.

Trzeciego dnia zwyczajnym sposobem zapakowany w kibitkę, którą zawsze zasłaniano w przejeździe przez miasta i wsie, zawsze oficer pijany i jego podkomendni, żadnéj uczciwości ani ludzkości nie miałem od niego.

Z Moskwy byłem wieziony do Kazania w którym mieście kilka dni bawiliśmy się, do każdego miasta przyjeżdżając, zawsze stawali przed domem policji, lud się wszędy kupił, aż mi wyznaczone było miejsce noclegów lub popasów. Ten spoczynek był nie dla mnie robiony, ale dla konwoju, który dla forsownej drogi nie mógł wytrzymywać. Dawano wartę do miasta na noc za rozkazem mojego oficera. Od Smoleńska do Irkucka trzech żołnierzy w mojéj straży zginęło, jedni nogi albo ręce połamali z wierzchołka mojéj kibitki. Gdy pijani i nieuważni z gór lecieli, zdarzało się to często, że kiedy rozpędzą konie, kibitka się wywraca i konie wloką po ćwierć mili, a ja zamknięty tłukę się jak śledź w beczce, lecz że byłem

obwijany worem, sieczką i słomą, to mnie ratowało. W Kazaniu gdym stanął na kilkudniowym spoczynku, dano mi dość dobrą stancję w wielkim jednym domu murowanym i pierwszego dnia nie opatrzyli się, że moje okno z drugiego piętra było na ulicę, warta moja tego nie uważała a ja wolno patrząc postrzegłem kilku Polaków oficerów znajomych i rozmawiałem z nimi i zainformowałem się o wielu rzeczach. Lecz na nieszczęście moje gdy dostrzeżono, kazano natychmiast okno na głucho zabić i powróciłem do mojej dawnej sytuacji. Z Kazania do Tobolska byłem wieziony tymże sposobem bez żadnej powolności, wygody i ludzkości. W tym przeciągu i przejeździe drogi różne nieszczęśliwe kolonje i miasteczka przebywałem, które są zaludnione przez posyłanych na zsyłkę, wszędy postrzegałem ludzi bez nosów piętnowanych. Na każdym prawie przewozie takie monstra dawały się widzieć.

Na jednym noclegu gdy kobieta jedna jeść przyniosła dla straży, postrzega oficer, że twarz była niepospolita i zapytał się coby była za jedna? odpowiedziała że niegdyś Półkownikowa a dziś kowalowa jestem posłana na zsyłkę, przyczyny nie chciała powiedzieć za co. Na tej samej drodze po różnych kolonjach i pocztach znajdowaliśmy bardzo wiele Polaków, którzy jeszcze od Barskiej konfederacji pozostawali i już z nich wielkie kolonje rozmnożyły się.

Kazań Miasto niegdyś Tatarskie Królestwo należące do Azji a przez Cara Iwana Bazylewicza podbite. Później przez Puhaczowa zrujnowane, gdzie dotąd są jeszcze tego znaki zwaliska murów i góry. Mieszkają w samem mieście Rossjanie, Tatary, Czerkasy, Wodziaki, Syrjanie, Mogołowie. Te narody kolonjami mieszkają między Kazaniem i Tobolskiem. Kazań nad rzeką Kazaną i wielką rzeką Wołgą, która wpada do morza Kaspijskiego idzie między pierwszemi z miast. Liczy się po Petersburgu i Moskwie trzecim miastem, które ma bardzo wiele domów na gust Europejski, sklepów porządnych liczą do kilku tysięcy kupców. Znajduje się w tem mieście obraz Matki Boskiej, nazywają go po Rossyjsku Kazańska Najśw. Panna, lud z bardzo dalekich krajów przychodzi na odpusty i wiele przynoszą dla miasta zysku.

Kilkanaście pokoleń Tatarów są osiedli koło Kazania i na drodze do Tobolska. Narody Czuwackie, Czeremiskie, Ostjaki płacą podatki podusznego : te narody różnią się zupełnie między sobą językiem, fizognomią, obyczajami, religiją; używają najwięcej mahometańskiej, dają rekrutów w małej liczbie, uprawiają rolę, która w tem miejscu bardzo jest żyzna. Z Ta-

tarów i Kałmuków wybierają część na ochotnika do wojska. Koło Kazania wielkie są kolonje i bogate, zaludnioną tymi, którzy od dawna już posłani na zsyłkę, z tych tedy biorą bardzo wiele do pułków kozackich, dają im tytuł Kozaków albo Dońskich albo Czarnomorskich i tym napełniają pułki, gdyż samych Dońców jest mała bardzo liczba na Donie i prowincjach Kozackich; same prawie kobiety gospodarują i uprawiają role, gdyż nie mają prawie mężczyzn, bo wszystkich biorą do wojska. Koło Kazania można liczyć najmniej do dwuchkroć sto tysięcy różnych Tatarów, którzy uprawiają ziemię i opłacają bardzo drogie podatki, część futrami, część pieniędzmi. W tej stronie jeszcze mało zwierza i nie tak piękne jak w dalszych krajach Syberji; w tem mieście jeszcze nie znajdują się sobole tylko popielice, rysie, kuny, bobry i niedźwiedzie, których mają podostatek. Po tych lasach Kazańskich na drodze do Tobolska najwięcej mieszka różnej hordy, które uprawiają ziemię i polowaniem się bawią.

Tatarowie ubiorem zbliżeni są do Tureckiego. Kobiety chodzą w zawojach i noszą materje bogate, które kupują od Bucharskich narodów. Kobiety są piękne i bogato się ubierają, ale ich najwięcej mężowie zamykają, przypadkiem ich można kiedy widzieć; mają swoje seraje i po kilka żon utrzymują. W domach czystość największa; dwie kontygnacje ławek kobiercami i dywanami wyścielane, siadają nogi na krzyż założywszy. W każdym prawie domu mają koło pieców wprawione kotły, w których oparzają młode gołąbki i najgustowniejsze robią potrawy.

Ceremonje ślubów; kawaler kiedy się stara o pannę, posyła do niej konia, któremu jeżeli plecie w grzywę wstążkę, odsyła go nazad i pewnym jest jej ręki — Ceremonje dalsze tego obchodu naśladują żydów, każdy z weselników musi zjeść całą kurę a żywe przerzucają przez głowy młodym, aby latały i inne tem podobne dziwactwa wykonywają.

Drugie narody inne mają obrządki i różnią się od siebie, ale w wielu zwyczajach naśladują Turków: mają swoje meczeta bez dzwonów, modlą się do miesiąca i ściśle zachowują swoje święta.

Mają wielkie stada koni, bydła, owiec, wszystkie fabryki różnych materji mają swoje własne, od nikogo nic nie kupują, kobiety ubierają się tak jak mężczyzni różnią się tylko kolczykami, które noszą u uszów osobliwszej wielkości, srebrne formy półmiesiąca, na piersiach sztuki wylewane ze srebra słońca.

Kobiety Czeremiskie bardzo zręcznie i śmiało na koniach jeżdżą, z łuków strzelają, na instrumentach grają, które same robią i na fason naszej gitary strony z włosów końskich, która jeszcze jest panną ta nosi pleciony warkocz z włosów końskich prawie do samej ziemi, na końcu warkocza różne dzwoneczki, po środku srebrne sztuki, które rozdzielają włosy.

Czeremisi podobni są do Czuwaczów i zgadzają się prawie we wszystkich obrządkach i etykietach.

Wodziaki różnią się uprawianiem więcej roli, ubiór zupełnie odmienny, kobiety noszą czapki wysokości łokcia podobne do grenadjerskich z materji bogatych różnemi franzlami przeplatanych; bielizna cała wyszywana bardzo pracowicie włóczkami; zwierzchnie suknie najwięcej materji bucharskich. Mężczyźni zaś nie są eleganci, noszą zwierzchnie suknie z różnego zwierza z psów, z końskiej skóry.

Ostjaki niemal we wszystkiem do pierwszych są podobni. Religji wszyscy są pogańskiej, różnią się tylko językiem. Bawią się częścią rolą, częścią polowaniem, biją zwierza z łuków, bo innej im broni mieć nie wolno.

Te wszystkie narody nie są bardzo liczne, bo ledwo po kilkaset osady porozrzucanych po lasach mieszkają.

Z Kazania do Tobolska liczą przeszło 300 mil europejskich, i na samej tylko drodze znajdują się niektóre bardzo rzadkie mieszkania, miasteczka i kolonje z ludzi na zsyłkę posłanych, dla utrzymania tylko samej poczty na przejazd w dalszą Syberję. Poczta bardzo tania; kosztuje jedna kopiejka na wiorstę a wiorst w mili liczy się 7, a na powrót z Syberji do Moskwy w dubelt. Jadąc tak traktem nad rzeką wielką Kamą część narodów Bucharskich, część Kalmuków mieszkają. Wiele widzieć się daje różnych ruin z ogromnych murów zwaliska i kamieni postrzega się też Cyganów nad tą rzeką mieszkających.

W tejże podróży napotkałem do dwóch tysięcy Polaków, którzy byli pędzeni ku Czarnemu morzu na okręta. Kolonje znaczniejsze na tym trakcie są: Iszyńsk, Krasnołoboda, Jumeń, Tara, Turyńsk i inne tym podobne.

Te wszystkie kolonje są osadzone ludźmi nieszczęśliwymi na zsyłkę powysyłanymi, dziś już są rozmnożone, uprawiają część roli, bawią się polowaniem z łuków i tem podatki opłacają.

Przywieziony byłem do Tobolska a po dwudniowym tam pobycie wieziony byłem dalszą drogą do Irkutska. Na tejże

drodze napotkałem po kilkaset ludzi obojéj płci na zsyłkę pędzonych ku Irkuckowi, przy małéj bardzo straży, których od kolonji do kolonji przesyłają i ledwo w końcu trzeciego roku z Europy do Irkucka przybywają. Uciec tam żaden nie może, gdyż nigdzie nie masz pobocznych kolonji; prócz na jednéj chyba drodze, która przez Piotra Wielkiego temi dzikiemi i ciemnemi lasami robiona do Irkucka. Te kolonje osadzone tylko dla samej poczty: gdyby zaś który chciał z niewolników w bok gdzie się schronić do lasów, zostanie od zwierząt zjedzony.

Na połowie drogi do Irkucka tych niewolników rozdzielają, z których jednych oddają do kopalni, niektórych osadzają na kolonjach pustych, innych zaś do fabryk jako to do Minużyńska, Barnaul, Ekaterynoburga, w tych trzech miejscach biją pieniądze miedziane pod znakiem dwóch soboli, i ta miedź z Syberji nie wychodzi, ponieważ w niéj znajdują się cząstki złota i na granicy rewidują. Z tymi niewolnikami ciągną losy i dobierają małżeństwa, ślub daje kapitan sprawnik, dopiero w kilka lat kiedy się zdarzy Pop stwierdza. I takim sposobem od Piotra Wielkiego osady się duże poformowały. Ojcowie tych kolonistów byli bez uszu i nosów, dzisiejsza potomność jest zdrowa; biorą ich w rekruty do komend Sybirskich. Cerkwie są bardzo rzadkie; księża posłani na Syberję jeśli mają synów, posyłają ich do Tobolska albo Irkucka do wyświęcenia.

Gdy byłem wieziony pustynią, dawano konwoje, gdyż na trakcie ku Kiachcie do granic chińskich często bardzo napadają karawany kupieckie, które idą z Moskwy. Są to rozbójnicy, którzy posłani do różnych kopalni i fabryk uciekają, łączą się z inną dziką hordą, mają mieszkanie swoje zimą i latem po lasach głuchych i niedostępnych. Życzyłem sobie w tym czasie, aby już rozbójnicy mogli napaść i mnie odebrać, lecz mój oficer zapowiedział mnie uczciwie, gdyby w przypadku mieli napaść, ma rozkaz sekretny, mnie pierwszego zabić; i potém już nie życzyłem, aby podobny przypadek mógł się zdarzyć.

Gdy w téj drodze zachorowałem śmiertelnie, chciałem, aby z kilka dni oficer mógł się zatrzymać; lecz odpowiedział mi na to: widzę i wchodzę bardzo w stan twój dzisiejszy, lecz ma rozkaz nigdzie się nie zatrzymywać, a w przypadku śmierci, ciało moje powinien zawieść do miejsca przeznaczonego. Włożony zostałem do kibitki chory i wieziony w dalszą podróż do miasta Niższy Udyńsk, koło którego mieszkają na-

rody Tunguzy, Karagazy, mają stada wielkie reniferów i przyjeżdżają często do tego miasta reniferami. Zimą i latem w lasach i pomiędzy górami mieszkają, namioty mają z futer i palą ogień w środku koło którego się ogrzewają i u wierzchu tego namiotu odkryta jest dziura, którędy dym wychodzi. Gdy wypasą miejsce jedno, to jest mech biały, który gdy wyjedzą, zabierają całe swoje domki i z taborem swoim przenoszą się w dalsze miejsca. Wybiwszy zwierza pobliższe, jedzą bez żadnego braku. Zabierają dzieci, swoje rekwizyta i to wszystko na reniferach przewożą, które tak są zmyślne, że przechodząc przez gęste lasy nie obrażą przewożonych dzieci, które w krobeczkach są, do nich przywiązane.

W mieście zaś samym Udyńsku najwięcej mieszka ludzi posłanych na zsyłkę, dziś są bardzo bogaci, bo się bawią uprawianiem roli i handlem. Na drodze blisko Irkucka wiele bardzo przejeżdżałem kolonij, w których znajdowałem Polaków, Prusaków, Szwedów. Ci ludzie zabrani byli w dawniejszej wojnie z Szwedami i Prusakami i nie zostali uwolnieni, gdyż podali ich za zmarłych, a dziś są znaczne kolonje ziemię uprawiające.

Zbliżyliśmy się już o pięćset wiorst ku Irkuckowi, stanęliśmy na dwudniowy wypoczynek. Kolonja była dość znaczna, w której i sąd niższy znajdował się. Że żołnierze byli sfatygowani i pokaleczeni od wywrotu kibitki, oficer uczynił rekwizycję i dano wartę miejską. Złączyli się pod komendę mego oficera w drodze do transportowania do Irkucka.

1o. Dominikan Przeor Rakowski.

2o. Horodeński z Mińskiego,

3o. Jan Zienkowicz i dwóch zaściankowych szlachty z pod Oszmiany w żupanach płóciennych, którzy uprawiali rolę, a najniewinniéj zostali wzięci, dla tego że mieli nazwiska niektórych dwóch naszych magnatów w Smoleńsku, na których miejsce zamienieni zostali, bo tamci się opłacili.

Ostatniéj nocy po spoczynku, gdy już nazajutrz mieliśmy się do podróży, poczty i konie już w nocy były gotowe przed domem, warta miejska, żołnierze i my spaliśmy dobrze, ogień regularnie palił się noc całą, gdzieśmy tylko nocowali. Téj samej nocy oficer wstawszy cichaczem zgasił ogień; gdy już dzień nastał już poczty były zaprzężone, wstaje, porywa się nasz oficer wpada niby w konwulsje, zżyma się, szuka po łóżku i powiada że pugilares mu został ukradziony, w którym były nas wszystkich pieniądze jakie tylko kto miał, ponieważ niewolnikowi nie wolno ich mieć :

pieniędzy skarbowych też miał bardzo wiele, to jest na pocztę do Irkucka na dwadzieścia dwa koni, gażę na całą komendę na sześć miesięcy i napowrót dla siebie z Irkucka do Smoleńska, który sam ukradł, wyszedł w nocy i podłożył pod kamień blisko przewozu którędyśmy mieli przejeżdżać, o czém później się dowiedziałem.

Sprowadza niższy sąd do naszej kwatery, każe siebie rewidować, nas wszystkich i rzeczy nasze. Sąd niższy nic nie znalazł, tylko księdzu przeorowi jeden z tych ichmościów ukradł zegarek. Posłali natychmiast oficer-kurjera do Irkucka z doniesieniem o przypadku, że wiezie bardzo ważnych i sekretnych aresztantów i nocujących w kolonji która osadzona samymi złodziejami i rozbójnikami przy ichże straży okradziony został i nie ma zaczém dalej wieźć aresztantów; do tego jeszcze zebrał zaświadczeń od mieszkających tam niektórych małych kupców, że kilka im takich przypadków w téj kolonji z innymi zdarzyło się. Kurjer powrócił z pieniędzmi na pocztę z zaleceniem prędszej jazdy.

Przywiezieni zostaliśmy 5 miesiąca przed Irkuck, przed którym wielka rzeka Angara znajduje się, któréj, jako powiadają, w całej Europie nie ma, tak bystro bieżącéj bo więcej mili w górze stoją statki, któremi w okamgnieniu przewożą do Irkucka. Rzeka ta wypada z pod gór wyniosłych bardzo od Chin leżących.

Spotkał nas komendant na brzegu, kiedyśmy się przewieźli i każdy osobno był wzięty, jeden o drugim już nie wiedzieli, ja moich kompanów już odtąd więcej nie widziałem; wzięty pod nową straż i osadzony w domu kupca jednego, byłem bardzo słaby i niespokojny rozumiejąc, że tu się odkryć może przeznaczenie moje. Był to dom prawie nie mieszkalny, gdy sam Pan tego domu handlem się bawił. Sala była bardzo pięknie umeblowana i kilkadziesiąt drzew chińskich w wazonach stało. Drzewa najpyszniejsze dotykały się prawie samego sufitu, byłoby to miejsce dla mnie rajem, gdybym nie był niewolnikiem.

Komendant miasta bardzo ludzki człowiek przysłał mi jeść z swojego stołu. Nie było sztućców tylko sama łyżka, gdyż niewolnikom nie daje się noża nigdy.

Nazajutrz odwiedził mnie tameczny doktor, człowiek bardzo uczciwy nowowyszły z akademji petersburskiej, ożenił się w tem miejscu z najpierwszego kupca córką, który dostał rangę pułkownika i krzyż za wynalezienie wielu wysp na oceanie. Przed moim wyjazdem w dalszą podróż, ponadawał

mi bardzo wiele różnych lekarstw, ostrzegając abym to menażował, bo już tam dalej ani doktora ani lekarstwa nie znają.

Zapytął mi się co ja zwykłem pijać zrana? odpowiedziałem że dawniej pijałem kawę, dziś o tem zapomniałem. Dał mi na samym wyjeździe wór wielki skórzany, mocno zawiązany, zalecając abym te ziółka zażywał codziennie wiele chcę. W drodze gdym rozpakował, znalazłem na miejscu ziółek kilka funtów kawy tartej surowej, i głowę dużą cukru. Kawa i cukier jest bardzo rzecz droga w Irkucku. Na wyjeździe samym przyszedł Komendant i przyniesiono za nim futro ze skóry jeleni, włożono do mojej kibitki. Zadziwiło mnie to bardzo, że jesień jeszcze była niepóźna i dość było ciepło, a mnie dają futro: na co odpowiedział Komendant, że za kilka dni spotkam się z zimą, co się tak stało, bo za tyleż dni już coraz daléj były znaczne mrozy i to futro bardzo się przydało.

ROZDZIAŁ IV.

PODRÓŻ DALSZA DO OCHOCKA.

Byłem wieziony od Irkucka do rzéki Leny kilkadziesiąt mil powozem przez dziką hordę do którego miejsca już się zakończyły konie. Znalazłem już kilka statków uładowanych towarami przez kupców Irkuckich, którzy towary swoje, rekwizyta okrętowe spuszczają rzéką Leną do Irkucka, ztamtąd na wierzchowych koniach więcej trzech tysięcy wiorst pustemi górami, lasami transportują do Ochocka na okręta, co ich to wszystko bardzo wiele kosztuje, bo wiele koni z pakami ginie od niedźwiedzi.

Opuszczone miejsce kilkadziesiąt mil przed Irkuckiem, do którego wracam się. Kiringa kolonija leży na trakcie do Irkucka, złożona z kilkudziesiąt osady ludzi na zsyłkę posłanych, dano nam kwaterę, dość dom duży i wygodny. Okna były z tego kamienia, który się drze na arkuszowe papiery, przez które dość widać, na tem szkle pisze się krzemieniem lub goździem jak na pargaminie.

Gdy oficer pilnujący podweselił sobie podobnież i cała warta, w tém przypatruję się oknu i widzę jakieś wiersze napisane, których było kilkanaście po rossyjsku ręką KsiężnyMenszykowéj, która z mężem gdy była wieziona na zsyłkę w tym domu jakiś czas spoczywała, która wypłakawszy oczy ze smutku nie dojechała do Berczowych ostrowów, umarła w drodze i tam

pogrzebiona została. Gdy te wiersze czytam na oknie, wchodzi bardzo stary człowiek lat ośmdziesięciu wieku, który z młodych dni będąc oficerem, do tej kolonji był zesłany. Skoro wszedł do mnie oświadczył, że jest gospodarzem, i że jego dom jest przeznaczony na spoczynek ludzi nieszczęśliwych, bawił mnie przez dwie godziny; wiele mi naopowiadawszy awantur, aż nie wyspał się mój oficer, który staruszek już się więcej ze mną nie widział.

Przy tej kolonji płynie wielka rzeka Kirynga koło której bardzo wiele Jakuckich narodów mieszka, którzy w polach gdy robią koło siana lub innych robót najczęściej są nadzy prócz że na przodzie mają rzemienne fartuszki, obsiadają ich muchy duże, bąki, komary, pająki, lecz oni tego nie czują dla grubości skóry, przez którą ból nie dochodzi.

Rodzaj tych ludzi, karłowaty, nogi najwięcej łękowate, oczy wielkie, twarze szerokie, i koloru hebanowego, włosy czarne i grube jak u koni, silni nadzwyczajnie, na koniach bardzo mężnie jeżdżą, z łuków celnie strzelają i są ażardowni. Kobiety bardzo pięknie się ubierają; suknie mają ze skór, malują farbami i pracowicie tamborują rozlicznemi trawami, włosami koni i innych zwierząt, konno jeżdżą i z łuków strzelają, są czerstwe i wytrzymałe na zimno.

W Jakucku takie jest zimno jak w żadnej części Syberij. Mają wielkie stada, koni i bydła, koni nigdy nie kują a te po największych lodach i górach tak się trzymają jak najostrzej kute.

Kirynga należy do Irkucka, wielki to jest naród, którego liczą do kilkadziesiąt tysięcy ludnośQj.

W Jakucku przebyłem część zimy do wiosny; znalazłem Komendanta znajomego pułkownika S...., który dość w Województwie Mińskiem dla rabunków był sławny. Porobiwszy wiele kryminałów w Polsce wyrobił się na komendę do Jakucka, wiele miał Polaków przy nim służących i ci tedy sekretnie mi opowiadali, wiele on ma różnych sprzętów rabownych, monstrancjów, kielichów, paten, i wiele innych sprzętów kościelnych.

Jakuck jest to punkt głębokiej Syberji ku portu Ochock zwanym zbliżny; w tem miejscu najwyborniejsze sobole i lisy czarne, gronostaje. Leży nad rzeką Leną, Narody Jakuckie dzielą się na dwanaście Ksiażąt albo Kniaziów, którzy z rodu swojego biorą pierwszeństwo. Język mają bardzo obfity podobny do tatarskiego i kiedy się z sobą schodzą, nieustannie gadają o zwierzętach, o polowaniu i o marach, które

im się widzięć/dają, też samo i kobiety, ale niewiele więcej mają konwersacji o Szamanach (1) i widzeniach różnych. W niektóre dnie byłem proszony na obiad do tego komendanta. Pewnego czasu na jego imieniny byłem zaproszony, gdzie niespodziewanie znalazłem kilka osób naszych Polaków, nie wiedząc, że się w tem samem miejscu znajdują. Pierwszy Oskisko strażnik Litewski, drugi Dubrazki z Wołynia magnat, trzeci Horodeński pułkownik, czwarty podpułkownik Zienkowicz. Na tej kompanji przez cały ten bal można się było bawić, ale rozmawiać ostróżnie. Komendant miał żonę Szwedkę, były tam i tańce ale z naszych Polaków nikt nie tańcował prócz Zienkowicza, który się umizgał do jego żony; i potem już Zienkowiczowi nie wolno było bywać u tegoż komendanta. I w innych miejscach było dość kobiet, żon oficjalistów gdyż w tem miejscu znajdował się sąd niższy. Komenda była złożona z kilkuset ludzi i rozkazywała tak licznemu i mężnemu narodowi. Komendant w dnie niektóre zapraszał naczelników Jakuckich niby dla oświadczenia jakiegoś monarszego rozkazu. Kazał im w kilku kotłach jeść gotować i częstował ich przy gorzałce, która tam jest bardzo droga. Każdy z Jakuckiej starszyzny przywiózł jemu w prezencie kilkanaście najczarniejszych sobolów, czem mu się bal zawsze dobrze nagrodził.

Te narody opłacają podatek sobolami i z kilkudziesiąt soboli wybierają jednego dla skarbu, w tym tylko braku bardzo wiele komendant profituje. Kupcy posłani z Irkucka przybyli z różnemi rekwizytami i towarami rzeką Leną do Jakucka, czynią przygotowania przez część zimy na wyprawę do portu Ochocka. Bydło za bezcen kupują i rzną, mięso wędzą a w skóry mokre bydlęce obszywają swoje towary. Starają się zachować po cztery kamienie wagi, godzą Jakutów z kilku tysiącami koni, na każdego konia zawieszają wagi po cztery kamienie z każdej strony a jeden kamień wagi na środku umieszczają, i tak mając już wszystko przygotowane, biorą żywność trzechmiesięczną. Jakuci mają zaś żywność dla siebie, poprzewieszane na koniach wory skórzane a nalane mlekiem, z którego potem masło robi się. Mają też mięsa bydlęce wędzone a kiedy ich zabraknie, jedzą i konie. Na miejscu chleba mają gomółki z kory drzewa listwinicy, która podobna jest bardzo do naszej jodły. Obdarłszy pierwwszą korę z drzewa, drugą biorą do jedzenia, suszą i mie-

(1) *Szamani są to kapłani czyli wieszczowie tych narodów.*

szają z częścią mąki żytnicj, której dostają bardzo drogo od kupców Ruskich w Jakucku mieszkających. Gdy za przyjściem wiosny rzeka Lena puściła, zaczęliśmy już mieć się do podróży. Koledzy moi z tego już miejsca zostali rozdzieleni i każdy poszedł w swoje przeznaczenie.

Był przysłany Myszyński kniaź na komendanta do Ochocka i do tego konwoju przyłączył się komendant Jakucki Szlewiry. Rekomendował mnie onemu, ile że mnie znał dobrze, aby z swojej strony okazywał dla mnie dowody przyjaźni, zwłaszcza, że do Ochocka byłem przeznaczony, nie wiedząc jeszcze o dalszej mej podróży. Miałem ze skarbu wyznaczonych dla mnie i pod moje rzeczy do Ochocka cztery konie. Było zaś w ogóle koni cztery tysiące a na dwadzieścia jeden Jakutów. Cała ta nasza komenda była uzbrojona w łuki i strzały; ze dwa tygodnie przeszło nim ta cała wataka mogła się przez rzekę przeprawić.

Ruszył ten konwój, koń za koniem, bo tak były urządzone. Drogi żadnej, tylko strasznemi górami i wąwozami, ale w konwoju było wielu Jakutów, którzy wiedzieli drogę. Są znaki jeszcze drogi po kościach końskich, gdzie przez tyle już lat transporta chodzą do portu Ochocka, gdyż konie padają po drodze, część od niedźwiedzi zjedzona. Od Jakucka do Ochocka liczą blisko trzy tysiące wiorst. Przez tę całą drogę nie widać żadnych kolonij, prócz nie wielkiej osady nad przewozem. Wybrzeża rzek za spadnieniem najmniejszego dżdżu nieznacznie się wodą napełniają, gdzie dwa lub trzy dni stać potrzeba nim woda opadnie, gdy później i nogi zamoczyć nie można.

Na każdą górę kiedyśmy się wdarli, Jakuty czynią nabożeństwo i od każdego konia wyrwawszy włosy, zawieszają na drzewach. Przechodząc najwyższe góry, są tak wysokie miejsca, że ledwo człowiek pieszo i po jednym koniu może przeprowadzić, a z obu stron straszne przepaście, gdzie mieliśmy kilka przypadków, że po kilkanaście koni z ludźmi ginęło. Szliśmy zawsze od rana aż do wieczora bez popasu; stawaliśmy na nocleg zawsze nad jakąś rzeką i paszą dla koni. Wystrzegaliśmy się tylko nocować blisko udrów dla napadu niedźwiedzi; gdzie każdej nocy musiało kilka koni zginąć. Stanąwszy na nocleg, roznieciliśmy obozem w koluteńko ognie dla postrachu niedźwiedzi, każdy wydobywał swoje zapasy i jeść gotowali. Kupcy mieli swoje namioty, prócz tego jeszcze na twarzach sitko włósiane z płótnem, których zrzucać nie można było dla niezwyczajnego mnóstwa,

komarów i robactwa w powietrzu znajdującego się. Zaś oddychać bez sitka było niepodobno, gdyż inaczej gęba byłaby robactwem napełniona.

Najwięcej żyliśmy herbatą, mając ze sobą suchary żytne i pszenne. Mieliśmy też słoninę wędzoną, krupy i najprzedniejszy barszcz gotowaliśmy z młodych liści od Rumbarbarum, który tam obficie rośnie; nie okrągły tylko jak marchew albo pasternak, nie ma też takiej mocy jak Chiński, bo cztery razy go więcej się używa. I tak każdy dzień Jakuci konie zbierali, pakowali na nowo i ciągnęliśmy dalej w naszą podróż. Rekwizyta które się zostawały po koniach zjedzonych przez niedźwiedzi, zabierano na inne konie. Niezmiernie mi przykro było odbywać tę podróż tak niewygodną na siodle drewnianem, aż nie zaradziłem sobie później wypchaniem worka mchem.

W tej podróży jechał z nami Myszyński, który jak się rzekło, przeznaczony był na komendanta do Ochocka. Nie miał on nad tą karawaną żadnej władzy, bo to była kupiecka, ale ją sobie przywłaszczył. Nie przywykłszy do tak ciężkiej podróży i wierzchowej jazdy, kazał sobie robić różne lektyki; szedł jeden koń z przodu a drugi z tyłu tego pojazdu. Dla miejsc ciasnych i wązkich, kazał przed sobą przebić drogę i zażył subordynacji nad tymi narodami, które nie przywykły do słuchania rozkazów komendanta. Niektórych pałaszem porąbał i przyprowadził do wielkiego nieszczęścia, bo narody porzuciwszy wszystko to jest: konie i ekwipaże rozsypali się po lasach i górach. Staliśmy na jedném miejscu trzy dni i żadnego z nich nie widzieliśmy; niektórzy kupcy umiejąc język Jakucki, powłazili na drzewa i zaczęli wołać ich językiem, zaklinać na ich bogów, aż nareszcie dali się nakłonić. Komendant ich przeprosił i tak dalej ruszyliśmy w podróż.

Po téj drodze nad rzeką Aldan znaleźliśmy piękny cmentarz, znaki chrześcjan z napisami różnemi, którzy poumierali posłani na z syłkę, lub wojażu. Dalej znaleźliśmy grób kapitana angielskiego z piękną wystawą.

Mieliśmy nocleg ostatni blisko portu u narodów Tungużów w czarnym bardzo lesie świerków, nazywało się to miejsce Niedźwiedzie ucho. Ta noc była najniespokojniejsza, ognie w koło kładli Jakuci, krzyk ustawiczny i szum morza dał się już słyszeć. W tem miejscu kilka rzek rybnych spadało do morza, niezliczone mnóstwo tu było niedźwiedzi i mimo największej ostrożności kilkanaście koni straciliśmy.

W tej kolonji wielu kupców bardzo sprofitowało za tytuń i

paciorki szklanne kolorowe, za co dostali od nich soboli, lisy czarne, gronostaje i t. d. Gdyśmy uszli kilkanaście wiorst, postrzegliśmy przestrzeń Oceanu. Zadziwiło to bardzo pierwszy raz widząc, i brzegiem po nad samem morzem przybyliśmy do Ochocka.

Komendant nasz podróżny objął zaraz miejsce swoje, którego tameczni ze strachem jak Boga witali. Pochlebiałem ja sobie, że znajdę u niego ludzkość, i grzeczność, którą on mi oświadczał; ale przeciwnie oddany byłem do domu jednego z majtków i z nich samych straż do mnie przydana.

Kazał mi przyjść, do siebie razy kilka i nazad odprowadzano mnie z moją strażą. Kupcy tymczasem ładowali okręty, bo jeszcze nie był czas do wyjścia.

Ochock leży nad samym Oceanem, na piasku w klinie między morzem i rzeką wielką Ochotą; znajduje się domów drewnianych do sześciudziesiąt. Mieszkają tam niektórzy faktorowie od kupców Irkuckich, część wielka majtków, oficjalistów różnych, rzemieślników do budowania okrętów. Jest także w tem miejscu cerkiew z księdzem.

Bywają przypadki, że w czasie burzy wielkiej morza, napełni się rzeka i pod czas tej burzy domy nikną.

Komendant dla przywyknienia do powietrza morskiego, kazał mnie często prowadzić i bawić po nad morzem. Jednego czasu siedzę na wyrzuconem drzewie, przypatruję się tysiącznemu stworzeniu, słyszę że ktoś po kamieniach idzie do mnie i postrzegam człowieka dość wspaniałego w pięknym ubiorze. Zdawało mi się na pierwszym wstępie, że jakieś stworzenie wyszło z morza. Zbliża się do mnie i pyta z jakich jestem narodów człowiek : odpowiadam że z nieszczęśliwego. Rzecze mi : to zapewne Polak jesteś; znam ten naród i ich interes. Ja jestem kupiec posłany z kantory Irkuckiej dla wyprawienia okrętów na Ocean i powracam do Rossji. Jeżeli masz przyjaciół i familję, pisz przezemnie a zaręczam że dojdzie. Poświęcam ja się to na rzecz bardzą wielką, bo gdybym został zaskarżonym, że rozmawiam tylko z takim niewolnikiem, byłbym w niewolę gdzie odesłany, ale czuję aż nadto i chcę nieszczęśliwemu dopomódz. Za powrotem do stancji swojej (mówi do mnie) znajdziesz papier, pióro, atrament i lak : już tam jest warta odemnie przekupiona; nawet i sam majtek którego masz przy sobie. Pytał mi się oraz, czy znam kupców krakowskich Laskiewiczów, z którymi ja miałem handel na czarnem morzu woskiem : odpowiedziałem że bardzo mam wielką przyjaźń nawet. Był on rodem Greczyn.

Zapytuje mnie znowu czy nie byłem ja w sp[illegible] na zab[illegible] Monarchini, ponieważ tu żadnych niewolników nie posyłali; odpowiedziałem, że nie byłem.

Może, iż byłem gorliwszym nad innych, dla tego stałem się taką ofiarą, pytam go się nazwajem, czy nie wie o mojém dalszém przeznaczeniu, powiedział że nie wie; b[illegible] już tu ziemia się zakończyła. Jest tylko na Oceanie półwysep, który zowią ziemią kamczacką, koło której kilka portów i cytadeli, może tam będziesz posłany.

Może opatrznością zostaniesz kiedy uwolniony, ale tu zwyczajem, że za umarłych podają. Nauczył mnie sposobu postępowania dalszego, darował mi kamień tytuniu, co tam jest rzeczą najdroższą, kamień sucharów i różnych cacek dla tamtych narodów. Doradził mi, abym jeśli mam jakie pieniądze swoje ponakupował za to różnych rzeczy, ponieważ tam pieniądze kursu żadnego nie mają. Pobrał moje listy, które drogą handlu dostawił do Petersburga i po śmierci już Katarzyny rozdał Polakom naszym, a nota dostała się do rąk Pawła, co mi przyniosło oswobodzenie. Bo po wstąpieniu Pawła i po uwolnieniu Polaków naszych, w rok dopiero przyszło moje uwolnienie. Podziękowałem owemu kupcowi za jego tak dobre i czułe serce, pożegnałem się z nim, który niedługo bawiąc odjechał na tych samych koniach do Jakucka i Jrkucka.

Była dla mnie wydana niewolnicza dwuletnia gaża, za którą nakupowano dla mnie różnych rzeczy tak do życia jakoteż i różnych osobliwości dla tamecznych narodów, jakoto różnych sucharów, słoniny wędzonej, która tam jest niezmiernie drogą, krup różnych, tytuniu i t. d. ale to wszystko wniwecz poszło później, gdy przy rozbiciu okrętu pozamakało.

ROZDZIAŁ V.

PODRÓŻ MORSKA.

Już nastąpił czas wyjścia na Ocean, dwa okręty wychodziły naprzód przedemną, które były przeznaczone do nowej Holandji i na wyspę Świętego Eljasza.

Poranek był piękny i pogodny, słońce świeciło, wiatr z ziemi wiejący, właśnie do wyjścia z portu. Lecz gdy już okręt wyszedł na odkryte morze i kilka tysięcy kroków oddalił się od brzegów, w tem powstaje burza, porywa dwie szalupy, które z portu konwojowały okręt, aby o brzeg nie zawadził, wy-

wraca z trzydziestu ludźmi, z których kilkanaście zginie w przytomności wielu widzów stojących na brzegu. Wyratowali się tylko ci, którzy uniesieni byli pod okręt i za liny się pochwytali. Drugiego dnia wyrzuciło morze tych ludzi na brzeg w kawałkach tylko, bo przez kamienie które wrą koło brzegów potarte zostały. Co za smutny był dla mnie widok, dla mnie, który nazajutrz miałem się puszczać na morze. Dla żeglujących dwie okoliczności są najstraszniejsze, to jest wyjście z portu i przybicie do brzegu. Wychodząc muszą się pilnować wiatru z ziemi, tudzież ciągu ustępującéj wody do morza, równie jak wnijścia przybyłej wody z morza i wiatru morskiego na ziemię, gdzie dwa razy na dzień podnosi się morze napełnia ziemię i porty na trzy lub pięć łokci wysokości a w godzin dwie morze odbiera swą wodę. Nazywają to fluxus i refluxus; czyli wzdymaniem się i opadaniem morza. Powiadają żeglarze, że w żadném morzu tak wysoko woda nie wznosi się jak w têm miejscu na Oceanie.

Gdy wsadzono mnie na okręt, zdany byłem kapitanowi i depesze sekretne jakie były o mnie. Ten okręt był przeznaczony na wyspy Ekuckie, który miał rozkaz zajść na szczyt Azji do niższéj Kamczatki. Był to okręt kupiecki kompanii Irkuckiéj, wyprawiony na lat kilka dla wynalezienia nowych narodów i zdobycia futer. Składał się z ludzi ośmdziesiąt, część była strzelców z liczby niewolników kupowanych, inni zaś dobrowolnie poświęcali się z którymi kupcy na czwartą część zdobyczy porobili umowy, w końcu zaś tylko skwitują ich wódką i tytuniem. Miałem dodanego sobie majtka na straż, który z kapitana poszedł na majtka prostego, za straconą niegdyś w wojnie szwedzkiéj szalupę.

Brałem jedzenie porcję ryb i mięsa jak inni majtkowie, co mojemu oddawałem, bo mi przez całą podróż dobrze służył i prawie jemu życie winienem, a kupcy mnie zawsze z sobą zapraszali.

Gdy już okręt wychodził z portu pod żaglami ściągiem wody ubywającéj do morza omijając port nie wiele przytarł się o kamień i w tym momencie mało się nie wywrócił. Ponieważ żagle były rozpuszczone, wszyscy się powywracali na okręcie, bałwan wody przeleciał przez środek, i gdyby się nie trzymali za liny, pewnie kilkunastu ludzi mogłoby zginąć. Każdy przytomność stracił i nie wiedział co się z nim dzieje, a osobliwie ci, którzy pierwszy raz doświadczali. Szliśmy dzień i noc całą, wiatru nie było pomyślnego, co ujdziemy przez dzień i noc, oglądamy że nas nazad do portu przypędza. W

takiém tedy zdarzeniu zostawaliśmy dni ośm, dopóki port nie zniknął nam z oczu; bo za powstaniem burzy mogłoby morze wyrzucić okręt i rozbić. Nieprzyzwyczajony do morza nigdy sypiać nie mogłem, aż mi mój majtek nie zrobił kołyski uplecionej z powrózków, która było przybitą w głębi okrętu do ściany i zawsze mnie kołysała.

Umarło nam dwóch Kamczadalów prawie jednego dnia, którzy przed kilku latami na psach dostali się do portu a powracali do ojczyzny swojej na okręcie. Pogrzebani byli morskim zwyczajem. Mieliśmy ze sobą Popa ruskiego, który wyświęciwszy się w Jrkucku powracał na Kamczacką ziemię do Bolszerecka, gdzie miał ojca. Wyniesieni byli nieboszczykowie na wierzch okrętu po odprawioném nabożeństwie, zapakowano ich w wory z kamieniami razem, spuszczano po jednemu do morza. Dzień był bardzo jasny, wiatru najmniejszego, że prawie okręt stał na miejscu. Przypatrywaliśmy się w morze, gdzie kilka łokci nie dopuściły tych trupów zwierzęta i ryby morskie.

Staliśmy z godzin trzy na miejscu, że morze tak było spokojne, iż okręt był bez żadnego poruszenia, decydowali ci wszyscy fanatycy, że Bóg w tym czasie sądzi zmarłych i rozkazał morzu być spokojném. Zbliżało się już ku wieczorowi, rozkazano majtkòm i żeglującym jeść kolację i pośpieszać.

Gdy słońce zaszło za chmurę, okręt chwiać się zaczął, co kilka godzin bez poruszenia stał na miejscu. Zaczęło się też pokazywać wielkie mnóstwo stworzeń morskich, co pospolicie się dzieje przed burzą nastąpić mającą.

Piliśmy własnie herbatę, gdy nadszedł taki szturm i uderzył w okręt, że wiele upadło ludzi a każdy z pijących oblał się herbatą. W tym momencie spostrzegają na wierzchołku masztu ziemnego ptaka, który widać że był porwany od wiatrów i uniesiony aż na okręt. Zatrwożyło to wszystkich bo wnosili sobie, że bardzo daleko są od ziemi. Jeden z majtków zrobił wędkę ze szpilki i na rybę ptaka złowił. a gdy go niósł z wierzchołku, złamał mu skrzydło. Przeraźliwym głosem ów ptak nieustannie wrzeszczał: natychmiast drudzy majtkowie złożyli sąd na kilkanaście batogów za złamanie skrzydła, ponieważ bogowie morscy będą się mścili.

Coraz bardziéj zbliżało się ku wieczorowi i coraz większy szturm wzrastał. W jednym momencie ledwie nie wywróciło okrętu, bo natychmiast żagle spuścili. Kiedy Kapitan chciał trzymać się dyrekcji kompasu do punktu przeznaczonego, żadnym sposobem skierować rzecz było niepodobna; gdyż bał-

wany zalaćby mogły okręt lub wywrócić. Był to naówczas szturm tak wielki, jakiego nie doświadczali ci żeglarze. Kamienie nawet z piaskiem na okręt wyrzucało i przez dwie pory byliśmy nieustannie zalewani od przechodzących przez okręt bałwanów. Samiśmy nie wiedzieli dokąd od burzy byliśmy pędzeni. Na wierzchu ludzie trzymali się ustawicznie lin, bo inaczej byliby od wody schwytani : ognia rozłożyć nie można było, a każdy zmokły, zziębły i sił pozbawiony.

Kapitan zaczął opowiadać, że podług jego kalkulacji powinniśmy dziś przechodzić wyspy Kurylskie. Do tego przejścia upatrują zawsze czasu pogodnego, aby trafić na wyspy, którędy zwykle okręty przechodzą.

Gdy już druga pora minęła, równo ze dniem postrzegliśmy góry i kamienie w koło, plastwo nadbrzeżne i piany morskie od wzburzenia morza, które już zaczęło ustawać. Ale po takiej burzy bałwany strasznie ogromne i cała natarczywość morza o brzeg się obijała. Nie wiedzieliśmy gdzie zostajemy; powłaziwszy na maszty obserwowali miejsce, lecz nie mógł nikt zgadnąć do jakich krajów zbliżyliśmy się.

Byliśmy w największej bojaźni, aby nie wpaść na jednę wyspę Japońską, gdzie mieszkają narody zowiące się Kosmate, na której to wyspie wiele już poginęło okrętów. Kapitan rozkazuje rzucać do morza miarę głębiny, która jest z ołowiu na sznurku, a u spodu wosk lub łój przylepiają dla poznania jaki grunt ziemi. Zawoła ten, kto mierzył, iż ośmdziesiąt sążni, w kwadrans zawołał że czterdzieści. Już widać że okręt unosi woda do rozbicia na brzeg. Szczęściem że brzegi morza były piaszczyste, iż okręt tylko wywraca i wyrzuca a nie rozbija zupełnie.

Kapitan rozkazał kotwicę zarzucać,ale to wszystko już było za późno. Pędziło na brzeg okręt i z kotwicami, gdy kilka sążni było tylko głębiny, skołatany okręt burzą uderza wagą swoją o ziemię. Tu widać można było moc straszliwą morza. Przeleciał bałwan przez okręt, wszystkie liny i maszty zaczęły pękać. Było do kilkadziesiąt beczek na wierzchu okrętu, z wodą i z soloną rybą, przymocowane, do gwoździ wielkich żelaznych i pouwiązywane, wszystko to pozrywało się i ludziom nogi łamało. Niektórzy już zaczęli skakać z okrętu chociaż brzeg był daleki, ale wody nie było nad półtora łokcia. Najprzód zaczęły wskakiwać majtków żony z dziećmi, te pod okręt wpadłszy, poginęły. Okręt po kilka razy odnosiło i przynosiło na brzeg, wody było bardzo wiele w okręcie, ponieważ wielka dziura zrobiła się u spodu. Mój

poczciwy majtek wyrwał dwa gwoździe, któremi były beczki przybite: miały one długości do trzech łokci i podobne do naszych kuchennych rożnów. Dał mi z tych jeden, drugi wziął sobie, powiadając, że to nam zachowa życie. Porywa mnie za barki i ciągnie do jednego bardzo małego magazynku, w którym znajdowały się liny i smoły. Ostrzegał mię przytem, że choć maszty będą się łamać, to nas ocali od zguby.

Wysmarował mnie całego i siebie smołą. Wyszliśmy z tego miejsca i gdy widział, że najbliżej brzegu bałwany morskie rzuciły okręt, wlazł na maszt, który w przodzie okrętu leży wzdłuż, siadł jak na konia i mnie kazał za sobą do końca jej posuwać się zalecając, abym nie upuścił gwoździa. Smoła pomogła nam bardzo, bez której na śliskim maszcie utrzymaćby się nie można było. Skoczył majtek najprzód do wody, ja za nim podobnież. Wody nie było nad półtora łokcia, lecz tyle i mułu, skąd nóg wydobyć nie mogłem. Zbliżył się do mnie majtek, wydobył i poprowadził ku brzegowi.

Mieliśmy jeszcze do ziemi zielonej tysiąc przeszło kroków. Zatrzymaliśmy się, bośmy z sił opadli uciekając ku brzegowi. W tem oglądamy się aż nadchodzą nowe bałwany, które okręt jeszcze raz uniosły ze swego miejsca i nasby pochłonęły, ale majtek doświadczony i śmiały zatknąwszy mój gwóźdź w ziemię i swój razem, kazał przyklęknąć na jedno kolano i trzymać się najmocniej gwoździa. Gdy już nas bałwan zakrywał, trzeba było oddech zatamować na kilka minut : przeleciał on kilka łokci wyżej nas, uderzył się o brzeg i nazad powrócił. W tym momencie straciłem przytomność i małom już nie zgubił gwoździa. Winszuje mi majtek, że już odbyliśmy największe niebezpieczeństwo, powiada że jeszcze raz bałwany nas zmoczą ale już nie tak silne i uciеczemy już na brzeg. Jeszcze powtórnie oblała nas woda, atoli po pierwszem doświadczeniu śmielszym się być pokazałem.

Padłem na brzeg murawy zmordowany zupełnie, leżąc obmacałem jagody, które z trawą razem wysysałem dla pragnienia. Nie wierzyłem sam sobie, że jestem na lądzie, zdawało mi się, że ziemia koło mnie się obraca. Wypocząwszy cokolwiek, podniosłem głowę, widzę że morze jest daleko od brzegu, okręt leży na piasku; ludzie jedni potonęli, drudzy rzeczy swoich szukają powyrzucanych od morza. Kapitan na okręcie utrzymał się z częścią ludzi, chociaż okręt znacznie był nadwerężony. Zaczęli wszyscy zgromadzać się na brzeg, a lubo w niedoli, każdy się weselił, że od dalszego nieszczęścia był oddalony. Po niejakim czasie postrzegliśmy w odle-

głości kupiących się ludzi. Zatrwożeni na nowo wszyscy, bośmy nie wiedzieli gdzie się znajdujemy i wnosiliśmy, że na wyspie Japońskiej gdzie każdy okręt ginie. Rozkazał Kapitan broń jaka była opatrywać i w przypadku mieć się do obrony; ale gdyśmy posłali kilku ludzi zbrojnych ku nim, poznano że to byli mieszkańcy wysp Kurylskich, gdzieśmy się rozbili, a do których Rossjanie lądują czasami. Posłańce wróciwszy oznajmili nam, że to byli Kurylczycy.

Kapitan z trzydziestu ludźmi zbrojnymi poszedł ku nim, gdzie i mnie wziął sobą; przechodziliśmy przez kilka głębokich wąwozów, przez które przewożono nąs na batach skórzanych : były to rzeki wąskie czyli strumienie wpadające do morza.

Gdyśmy przybyli do ich kolonji, znaleźliśmy mieszkania z kory, wiele kobiet i ludzi po tych mieszkaniach. Niektóre domy były ze skór jeleniowych malowane i wyszywane różnemi deseniami z włosów zwierząt. Zastaliśmy ich jedzących; niektórzy gotowali jeszcze w naczyniach dużych żelaznych, które od Rossjan podostawali. Częstowali nas swojem jedzeniem, które było najwięcej zwierzyny morskiej w samej tłustości psów morskich, koni, żab różnych. Nietylko jeść ale patrzeć nie mogliśmy na to, dogadzając jednak ich ludzkości jedliśmy ślimaki opiekane, które tam były bardzo smaczne. Prosiliśmy ich nawzajem do okrętu, który na piasku leżał : uczęstowaliśmy ich produktami Europejskiemi i daliśmy im prezenta, za co byli wielką pomocą do naprawienia okrętu. Byliśmy już zupełnie gotowi i za przybyłą wodą, która zdjęła okręt, ruszyliśmy w dalsze przeznaczenie.

Udaliśmy się do niższej Kamczatki a będąc wszyscy znużeni pracą, przygodami i długą żeglugą żądaliśmy już ujrzeć ziemię, lecz wspomniawszy, że wnijście jest to punkt niebezpieczny, że możem uledz przypadkowi przerażał nas znowu widok brzegów. Tegoż dnia wpędziło nas na kamień, gdzie rosła morska kapusta z wielkiemi i szerokiemi kapeluszami, kilka sążni długości, i zatrzymanym był okręt przez kilka minut : szczęściem że nadszedł bałwan i spędził nas z tego kamienia.

Ku wieczorowi staraliśmy się z przybyłą wodą z morza przybić już do niższej Kamczatki, lecz wiatr przeciwny, nie pozwolił nam wejść do portu, a że blisko brzegu na kotwicach stanąć nie można było, oddaliliśmy się w głąb morza i mieliśmy czekać dnia. O północy powstaje wiatr i ciągnie cały okręt z kotwicami na brzeg kamienny : byliśmy już zupełnie

na widocznej zgubie rozbicia się. Ostatniego użyliśmy ażardu, noc ciemna, brzegi skaliste w koło, a koniecznie wypadało w głąb morza odejść. Zaczęli więc dobywać kotwic a w tem już bałwany pędzą okręt do rozbicia na brzeg. Gdy ludzie zaprzątnieni byli wszyscy czynnością, wpada wicher do kuchni i wnet zajęły się liny i żagle ogniem. Wyjść z takich dwóch przypadków rzecz była niepraktykowana · szczęściem ugasiliśmy ogień i udało nam się cofnąć w głąb morza. Już w dalszej odległości byliśmy bespieczniejszymi, zarzucono kotwice i czekaliśmy dnia.

Nazajutrz wiatr nam posłużył i z przybyłą wodą morską stanęliśmy szczęśliwie u portu, chociaż wody bardzo wiele było w okręcie, bo nie postrzegliśmy że dziura była wielka u spodu wybita. Wodę jedynie wstrzymywała ziemia, którą pospolicie zasypują dno okrętu.

ROZDZIAŁ VI.

WYLĄDOWANIE DO NIŻSZEJ KAMCZATKI.

Znalazłem nad brzegiem portu tłum ludzi, którzy powychodzili z całej niższej Kamczatki dla widzenia przybyłych gości na okręcie. Znajdował się między nimi komendant, nie można było go poznać, bo był w orjentalnym tamecznym ubiorze. Wysadzono mnie z okrętu i stawiono przed nim: zrobiłem mu komplement, że w nieszczęściu obiecuję sobie w nim znaleźć ludzkość. Odpowiedział mi na to: że ja jestem człowiekiem; on podług swej możności starać się będzie osłodzić moje nieszczęście. Poszedłem z nim do jego mieszkania i częstował mnie herbatą najprzedniejszą z mlekiem jeleniem. Znajdowało się tam kilka oficjalistów, ukazała się później nieszczęśliwa jego żona, która w tem miejscu dostała warjacji. On natychmiast porwał ją i zamknął. Była to kobieta z Małej Rossji dawnych Polaków. Po półgodzinnej zabawie kazał mi iść za sobą, powiadając że pokaże mi moje mieszkanie; pokazywał na dom swój gdzie cztery bierwiona tylko z ziemi wychodziły, powiada mi, że niech to mnie nie zadziwia, że moja stancja jest w ziemi, bo prawie my tu wszyscy tak mieszkamy.

Wprowadził mnie do mojego mieszkania gdzie znalazłem dwa okna okrągłe ze śludy (mika), stolik kamienny, ławki w koło ścian, komin w pośrodku, który i za piec razem służył, bo gdy napalą drwami zatykają komin i od węgli ogrze-

wa się dom. Było okno jeszcze jedno w górze z bryły lodu, które się oblepia śniegiem i wodą i dość długo się konserwuje. Kazał komendant od siebie przynieść obiad i jadł ze mną. Wszystkie rzeczy moje były zniesione z okrętu, które pozostały, część sucharów, część krup, herbata, kamień tytuniu i cacka różne moje kupione w porcie Ochocku, co mi bardzo pomogło do mego utrzymania się.

Komendant pożegnał mię zostawiwszy przy warcie dwóch tamecznych Kamczadalów i przy jednym majtku, a sam odszedł do siebie. Ukontentowany już byłem że nareszcie mój los się odkrył, spałem prawie całą porę. Długi czas komendant nie był u mnie, zastępował straż mój gospodarz, w którego domu mieszkałem, gdyż przez jednę ścianę był tylko ode mnie. Był to człowiek posłany z Irkucka za karę do niższe Kamczatki, który się ożenił z tameczną Kamczadalką i miał dozór nad rekwizytami okrętowemi. Byłem bardzo kontent z niego, bo mnie informował i nauczał sposobu życia; zrewidował moje rzeczy, to jest tytuń i różne cacka i powiedział że mogę tu żyć po pańsku. Wziął trzy funty tytuniu, porozdawał między Kamczadałów, i za procent tylko poprzynosił mi wiele produktów do życia, co tylko mogło u nich być najlepszego, to jest: ryb najprzedniejszych wędzonych i świeżych, ptastwa różnego, jagód i mleka jeleniego. Wpadłem zaraz w lepszą energję, że już z nędzy i z głodu nie umrę.

Komendant często bardzo przysyłał mi ryb świeżych, mięsa jeleniego i po kilkanaście żytnich sucharów, bo ja moich już bardzo mało miałem. Suchary te nie można było rozróżnić od próchna drzewa, bo przez tyle lat, w transportach i przez żeglugę morską, cały smak ginie.

Najprzykrzej było dla mnie kilka dni czasem nie widzieć mojego gospodarza, gdyż dwaj Kamczadale do straży mi przydani nie umieli języka rossyjskiego i nie miałem z kim rozmawiać ani się zainformować o co. Zacząłem już swoje gospodarstwo: miałem własne naczynia z miedzi, rądelek mały i imbryczek miedziany.

Najprzód rano wstawszy i podniosłszy myśl do Boga, zaczynałem koło kuchni. Pierwsza potrawa była herbata z mlekiem jeleniem i trochę wrzuconych sucharów. Cukier miałem lodowaty, który po małym kawałku kładłem do ust, i przy tem po kilka filiżanek piłem dla menażu. W tem miejscu wielu oficjalistów, niektórzy kupcy pijają herbatę, kiedy miewają gości; cukier lodowaty w małych kawałkach jest przygotowany osobno, i każdy bierze po jedny kawałeczku, kładzie za

jadła i wypiwszy przy tym cukrze kilka filiżanek, resztę wyjmuje z gęby i chowa na raz drugi. Wzdrygałem się téj fety, i podobnego zwyczaju nie naśladowałem.

Druga potrawą była ryba świeża, którą potrzeba było odgotować i jeść na zimno, bo kiedy para jéj zaleciała, wielkie sprawowała nudności. Miałem też wiele jagód za procent kilku funtów tytuniu : jagody te były podobne ze smaku do naszej brusnicy, z których robiłem kwas i używałem do ryb zamiast octu. Miałem czasem mięso jelenie, i wiele ptastwa, którego tam jest moc niezmierna. Pospolicie krajowcy w miejsce chleba mają rybę wędzoną nazwiskiem Czewycza wielkości potrójnéj jesiotra; łuskę ma karpiową w konchach wielkich, mięso jéj czerwone poprzerastałe z tłustością przewyższa wszystkie ryby smakiem w Azji i Europie; głowy téj ryby mają smak najprzedniejszych śledzi holenderskich, solą je i konserwują. Sól robią z drzewa na brzeg wyrzuconego, które palą na ług i tą wodą zalewają głowy do zasolenia.

Kamczadale i drugie narody mało używają soli i wcale jéj nie lubią. Znajdują się jeszcze w tém miejscu niektóre produkta jakie wykopują z ziemi od szczurów, większe niż żołędzie a smak orzechowy mające. Drugi rodzaj jest mniejszy, smaku kartofli, i tego wiele na wiosnę osobliwie wykopują, co oni zowią Serena. Mają czosnek polowy bardzo śmierdzący; mają też orzechy wodne bardo wielkie, które rosną po jeziorach na najwyższych górach.

Są u nich także orzechy cedrowe i bardzo wiele innych jagód tam znajduje się. Jedna atoli jagoda jest najdystyngowańsza, którą nazywają Morożka. Rośnie ona po kępach błotnistych, podobna do naszéj maliny, lecz trzy lub cztery razy większa; używają jéj w gorączkach i w innych chorobach.

Głowy ryby czewicy i jagody morożki zwane posyłają w prezencie jenerał-gubernatorowi Irkuckiemu.

Przepędzając w takiéj sytuacji dni nieszczęśliwe, nie miałem żadnej książki, papieru ani atramentu, zwłaszcza że nikt tych rzeczy nie miał oprócz komendanta.

Nabyłem czarnéj hypokondrji i przyszedłem do największego osłabienia.

Komendant późniéj gdy mnie znalazł w takim stanie, pozwolił trzy razy w tydzień przechodzić się nad brzeg oceanu, co mi wielką ulgę przyniosło, a późniéj i większą znalazłem powolność chodzenia. Gospodarz mój nauczył mnie po rusku czytać; schodził mi czas na czytaniu, dopóki wzroku nie osłabiłem przez dymy od wulkanów, wapory morskie, które tak

są gęste, iż zdaje się, że ręką można je dotykać. Przechadzając się po nad Oceanem, przypatrywałem się dziwnym widokom natury; zawsze straż nieodstępna mojego boku ostrzegała mnie, żebym unikał bałwanów przychodzących, które mogą wciągnąć do morza. Było moją zabawą zbierać różne kamyki, bursztyny i konchy morskie: znachodziłem czasami konchy z perłami ale bardzo drobnemi i płaskiemi, które nawet do kraju z sobą przywiozłem. Było też największą satysfakcją dla mnie, zostawać na brzegach morza przed nadchodzącą burzą, bo tysiączne stworzenia z morza ukazywały się, jako to: wieloryby, Morze (1) czyli Lwy morskie, Siwucze albo konie morskie, krowy, Nerpy, i psy tysiączne morskie. Krzyk niezmierny ptastwa, osobliwie jest rodzaj nurków, większe od gęsi naszych i krzyczą nieustannie najprzeraźliwiéj, które oni zowią Gagary. Suknie z ich skór robią bardzo piękne, kolor mają osobliwszy, i nigdy nie ginie ich piękność.

Kiedym się czasem wydalił brzegiem na pół ćwierci mili od kolonji i bawiłem się zbieraniem moich konch wydarzyło się tak, że blisko mnie wielki upadł kamień; rozumiałem że z obłoków. Był też obecny przy mnie majtek, rozważamy coby to było? kiedy on w tém spogląda na wyniosły brzeg nad nami i postrzega niedźwiedzia spuszczającego na nas te kamienie. Usunęliśmy się z tego miejsca i odtąd już nie chciałem oddalać się od kolonji.

W jesieni morze jest najrozhukańsze: słychać ustawiczne bałwany i szum największy Oceanu. Kiedy się bałwan o brzeg rozbija, natenczas cała ta niższa Kamczatka się wstrząsa. Dni bywają szare a noce najciemniejsze. Skoro uderzą

(1) *Morzów czyli Lwów morskich najwięcéj starają się zdobywać, które mają zęby długości około półtora łokcia, grubości jak ręką objąć, kości białéj i niczem się nie różnią od słoniowéj. Zębami temi prowadzą kupcy handel i przewożą do Kjachty. Znajdują także po nad brzegami morza lodowatego kości białe osobliwszéj wielkości zwierza (którego tam nazywają) Mamut, ale dziś ten rodzaj wyginął lub przeszedł w inną część świata, którego to zwierza kości idą w handel do Kjachty i są tam szacowniejsze od Morzów, część niejaka idzie w handel do Moskwy. Ogromny to musiał być zwierz, jak można wnosić z jego żeber, które są szerokie blisko na ćwierć łokcia; długość zaś proporcjonalna do szerokości.*

bałwany i powstanie szum morza, zaraz kilkanaście tysięcy psów, które przez lato żywią się rybą na brzegach morskich, zawyją wszystkie w tym czasie a w niejakiej odległości podobnież niedźwiedzie odezwą się z swym głosem. Wulkan brzmi nieustannie i wyrzuca ognie : co za okropny wtenczas spektakl i sytuacja człowieka! Psy dopiero w późną jesień wracają do swoich gospodarzy, którzy już dla nich przyspasabiają ryby suszone na zimę, bo latem psy dla nich nie są użyteczne. Niedźwiedzie żywią się rybami, dopóki nie dojrzeją jagody i cedry (orzechy tameczne). Niedźwiedzi Kamczadale bardzo niewiele biją prócz najwyborniejszych czasem na zakrycie sanek, bo lepsze futra mają w wielkiej obfitości.

ROZDZIAŁ VII.

OPISANIE WULKANÓW W KAMCZATCE.

Wulkan odwiecznie trwający, leży przy samej niższej Kamczatce, blisko rzeki Kamczatki do morza wpadającej. Pełno pływa wypalonej lawy. Wulkan ten w noc ciemną daje się tylko widzieć w swojej okazałości. Cała jej figura świeci się jak latarnia, wszystkie jej rysy są znaczne, i widać jak wyrzuca do góry lub się rozlewa. Nieustanny odgłos przerażający, niby dzwonu głuchego. Było przed laty w pobliżu tego miejsca kilka pomniejszych wulkanów gorejących, ale z czasem zagasły.

Katarzyna II ażardowała kilka wypraw dla zwiedzenia, lecz połowa ludzi prawie zawsze wracała ślepych od wiatru powstającego z dymu.

Znajdują się na tej górze do połowy lasy różne a coraz wyżej same kamienie; znajdują się i potoki, które wpadają do rzeki Kamczatki. Na tej górze po lasach są dzikie barany, wielkości potrójnej ukraińskiego. Wełny na sobie mają wiele; tłuste są i bardzo smaczne. Kamczadale biją takowe dla mięsa i futra : robią suknie ze skór i w największe zimna na gołym śniegu nocują.

Podczas mojej bytności było trzęsienie ziemi ; nikt bez doświadczenia mówić o tem nie może, co to jest za moment okropny.

W czasie trzęsienia ziemi urywają się wierzchołki skał, które się rozbijają na drobne kawałki, w których znajdują wiele spetryfikowanych żab i kamieni ametystowych. Pierwszy raz kiedym tego doświadczał, przytomność straciłem zo-

stawszy z łóżka wyrzucony, ale mój majtek będący na straży porwał mnie w momencie i na wiązaniu drzwi postawił. W czasie tym wulkan grzmiał nadzwyczajnie i woda Kamczatki zmniejszyła się w znacznej dość odległości na Oceanie skąd przyniosło rdzę, która okryła niemal całą okolicę Kamczacką grubości kilku cali i która przez kilka dni trwała.

Wnosić za rzecz pewną można, że te wszystkie wyspy, jako to: Kurylskie, Ekuckie, Lisie i szczyt Czukczów między Ameryką wschodnio-północną, była to jedna massa ziemi i przez podobne trzęsienia rozerwaną została. Narody na tych wyspach mieszkające mają języki każdy oddzielny, jednak zbliżają się do siebie: prócz jednych Czukczów, których język obfity i wcale odmienny.

Możnaby jeszcze wnosić, że kamienie łączą się w morzu z innemi wyspami, ponieważ skaliste najwięcéj postrzegają się brzegi. Wielu obserwatorów podróżujących decydowali, że z czasem Kamczatka zapadnie się, ile że coraz świeże znaki i rysy od wulkanów i trzęsienia ponawiają się ciągle.

ROZDZIAŁ VIII.

SPOSÓB ŻYCIA KAMCZADALÓW.

Ostatnich dni maja wychyla się słońce z za gór najwyższych, uderza promieniami i prawie w dniu jednym śniegi topi: wszystko gwałtownie, rzeki puszczają, szum niezwyczajny morza, latorośle dobywają się z ziemi, dymy od wulkanów wzrastają gęstsze.

Kamczadale wtenczas spuszczają psy swoje, które biegną na brzeg morski i całe lato, aż do późnej jesieni, żywią się rybami wyrzuconemi, dopóki na zimę nie powrócą każdy do swego gospodarza.

Psy te ryb samych nie jedzą, tylko głowy, które są bardzo tłuste i smaczne. Mieszkańce wychodzą z familjami do lasów, kopią różne korzenie, ziemne kartofle, które myszy dla siebie przyspasabiąją na zimę, zrywają różne pączki od drzew i kwiatów i za największy specjał jedzą.

Zabawa druga. Zaczyna z morza iść ryba do najmniejszych rzek w tak znacznej obfitości, że małemi siateczkami wyrzucają na brzeg wielkie stosy i suszą jak siano, robiąc zapas dla psów na zimę. Ryba ta pierwsza wychodząca z morza, a którą zowią Chachelcza, jest bardzo koścista i podobna do naszych jeżgarzy.

Nadchodzi ryba druga z wielkości podobna nieco do naszych linów, czerwona, z nosem do góry zakrzywionym. Tę rybę biorą prawie rękoma, wyrzucają na brzeg, płatają i suszą, także dla psów na zimę. W tym czasie powietrze bywa najgorsze, bo nim te ryby wyschną, powstaje wielki smród a z nich napada robactwo.

Następuje trzecia, najdystyngowańsza, którą zowią Czewycza, wielkości trzy razy jesiotra, łuska karpiowa w konchach, mięso czerwone, poprzerastałe z tłustością, a którą płatają na połcie i wędzą. Ryba ta służy za chleb, kawałek niewielki zjadłszy, można się posilić. Sposób łowienia jest następujący: Zbiera się kilkunastu gospodarzy i każdy z nich przynosi kilkunasto-sążniowe siatki, plecione z tamecznej pokrzywy, gdyż konopi tam nie znają, Związawszy to w jedno, robią sieć niezmiernie długą, tak że połowę rzeki Kamczatki przegradzają. Na wierzchu tej siatki nad wodą mają pouwięzywane lekkie kory dla znaku. Jeżeli ryba wpadnie, wyciągają sieć z największą ostrożnością, bo gdyby powietrza z wody chwyciła, mogłaby wszystkie szalupy powywracać. Ciągną więc siatkę z rybą razem do brzegu; część ludzi czeka prawie po samą szyję w wodzie, każdy ma zaś w ręku szluzę drewnianą. Podnoszą potem siatkę i za pokazaniem się ryby zaraz ją ogłuszają, a wyciągnąwszy na brzeg dobijają.

Chodzą też na różne kępy błot, zbierają niezmierną moc jaj od różnych ptaków jako to: łabędzi, gęsi kilka gatunków, kaczek, kuligów, czajek morskich, etc. i na tem czas im schodzi. Te jaja jedzą nieustannie, a co im do zbytku pozostaje, wrzucają w tłustość wielorybią i konserwują prawie rok cały.

Następuje młode ptastwo, a stare wtedy się pierzy i nie może czas jakiś latać. Wszystko to przebywa w trawach nad brzegami rzek i potoków wpadających do morza. Kamczadale polują na ptastwo. Zaszedłszy od głębi rzek z psami, tysiące na ląd pędzą i zabijają miotłami. Dzień i noc pieką, gotują i jedzą; potem znowu podobne polowanie robią, aż ptastwo nie odleci. Kamczadale bardzo są leniwi i nieprzezorni, bo pozjadawszy naraz zdobycze, później przez kilka dni mrą głodem.

Gdy nastąpi zbieranie różnych jagód, na czem niemal czas trawią, wtedy rzucają swe mieszkania i przenoszą się z familiami zupełnie. Najwięcej zbierają klukwy i brusnicy, które się konserwują przez zimę całą.

Kobietom właściwie jest zostawione to zatrudnienie, bo mężczyzni biegają w zawody na jeleniach, strzelają z łuków, stawiają posągi, które później zanoszą do źródeł wytryskują-

cych ze skał, i dla Bogów czynią ofiary. Kładą niezmierne drzew stosy, te zapaliwszy przez ogień skaczą i w tym czasie wieszczki czyli Szamany pokazują wszystkie swe kuglarstwa i sztuki. Zdarza się często, że kiedy kobiety zbierają jagody i naczynia napełnione zostawiają za sobą, niedźwiedzie za niemi skradając się wyjadają one. Bywają też zdarzenia, że niedźwiedzie porywają kobiety i unoszą do lasów, jednak im nic złego nie robią.

Opowiadał mi tameczny ksiądz ewangelista godzien wiary, ośmdziesięcioletni starzec, że mu przynoszono do chrztu dzieci, ale kiedy ujrzał że były monstra, coś podobnego do człowieka i do zwierza, kazał żywcem zakopać.

ROZDZIAŁ IX.

RELIGJA I OBYCZAJE KAMCZADAŁÓW.

Kamczadale we wszystkiem czczą Boga, a wierzą najwięcej w słońce, miesiąc i ogień. Utrzymują że to wszystko jest Bogiem, czego rozum i przemysł człowieka nie dokaże.

Kamczadale nie mający żelaza i krzesiw, dostają ogień przez tarcie drzewa o drzewo, mając do tego z sobą siarkę i pewny rodzaj wysuszonej trawy, która jak len się pali.

Jeszcze niektóre są u nich dawne zwyczaje. Wiele używa dotąd siekier z krzemienia, jakich dawniej używano, nie znając żelaza, którego im dziś Rossjanie dostarczają. Na miejsce igieł używają ości rybiej a na miejsce nici suszą żyły jelenie, które obrabiają na wzór naszych konopi i kręcą sznurki do uszycia sukien i sandałów. W odleglejszych od portów kolonjach, narody żyją w etykiecie starożytnej, bo nikt u nich nie bywa.

Ze skór jelenich wyrabiają zamsz na lato, spędzając sierć krzemieniem. Malują różnemi kolorami te skóry, gdyż farb naturalnych mają podostatek : suknie zaś przyozdabiają tamborowaniem, włosami zwierzęcemi i lśniącemi trawkami. Sandały czyli obuwię bardzo pięknie wyszywają. Na zimę noszą futra i kapturki na głowie, latem zaś mają odkryte głowy, wiele kos plecionych przy końcu, do których różne konchy i kółka uwiązują. Tamborują twarze, czoła i szyje, nakłuwając ością rybią do krwi, które potem smarują farbami i to już zostaje na zawsze. Kobieta, najwięcej takiego wyszycia na sobie mająca, jest podług nich tym większą elegantką i tem bardziej dystynguje się nad inne.

Robią koszule z kiszek jelenich, które wyczyściwszy, zszywają jeleniemi żyłami i od dżdżu kładą na siebie.

Robią też suknie z murków morskich, które są niewypowiedzianej piękności, w różnych kolorach odmieniając się. Dla osobliwości robią i suknie z kamienia śludą zwanego, który daje się drzeć na najcieńsze arkusze papieru i służy tam za szyby do okien. Suknia takowa w ogień rzucona nie spali się. Kamczadale bardzo są uprzejmi i gościnni. Co tylko ma w domu wszystkiem przyjmuje gościa, ofiarując mu nawet jednę z żon swoich. To dzieje się szczególniejszym sposobem. Jak tylko gość zawita, prowadzi ku niemu swą żonę, która trzymając naczynie miedziane pod pachą, którego się zwykle używa w nocy, w obecności jego, napełnia je, i tem go częstuje. Gość musi albo wypić albo przynajmniej tym specjałem gębę wypłukać i wtenczas już ma prawo do niej jak do swojej małżonki. W przypadku odmówienia mógłby postradać życie, bo krajowcy podobne uchybienie biorą za wzgardę ich gościnności. Ten zwyczaj jednak wyjąwszy Koryjaków gdzie dotąd istnieje między Kamczadalami, znikać już poczyna. Przypisać to należy lądowaniu cudzoziemskich okrętów i podbiciu Kamczatki przez Rossjan.

Kamczadałów związki małżeńskie. Kiedy się stara o pannę kawaler, posyła do niej pstrokatego jelenia, którego jeżeli zaplecie w trawy i kwiaty, pewnym jest jej ręki. Już tu panna w liczbie trzydziestu bab starych z krzykiem i skakaniem niedźwiedzi uwija się przed nim, a rzeczony kawaler musi w tłok tych bab przebijać się, włożyć na jej szyję z czarnych soboli halsztuch i w tym czasie od każdej baby po kilkanaście kułaków odbierze i już prowadzi do domu swojego na biesiady.

Kamczadale i Kamczadalki nieustannie między sobą gadają i przepędzają wieczory długie, opowiadając kto z nich co widział i jakie sny miewał. Lubią opowiadać rzeczy niepodobne do prawdy, jakie im się zdarzyły widzieć na różnych wojażach, bo się najwięcej najmują kupcom posyłającym okręty swoje na wynalezienie wysp i narodów nowych. Niektórzy opowiadali, że nad lodowatem morzem znajdowali, ludzi po połowie człowieka, i jedna od drugiej części niedaleko leżały, a gdy chcą iść zsuwają się połowy i formuje się człowiek. Nazywają tych ludzi Kambała, tłumaczy się to na polski język Flonderka. Inni zaś opowiadali że spotykali ludzi śpiących z zamarzniętym soplem od nosa aż do ziemi, którzy niby mieli być uśpieni aż do wiosny, których gdy ogrzeje słońce, ów sopel ścieka, człowiek się budzi i żyć zaczyna: dają

im nazwisko Soplaki. Inni zaś opowiadają, że zajmowali miasta i ludzi po których chodzili; dają im nazwisko Krwiopijcy. Kobiety między sobą opowiadają, że jedna widziała wychodzącą bestję podobną do człowieka, z rozczochranemi włosami, ogniem ziewającą z pyska. Inne też podobne opowiadają marzenia, a jedni drugich słuchają z największą ciekawością i wierzą. Po zebraniu jagód, po wystawieniu posągów i po odbyciu innych zabaw wracają do domu.

Następuje polowanie na wszelakie ptastwo, które biją w ten sposób. Robią siatki z tamecznéj trawy, uwięzują do dwóch wielkich żerdzi i stawiają po rowach i wąwozach idących z gór od jezior. Tam całe ptastwo różnego rodzaju przebywa żywiąc się orzechami wodnemi, a tak jest tłuste, że wysoko podlecieć nie może. Gdy więc noc nadchodzi, owe ptaki ciągną rowami i wąwozami do wody świeżéj rzek spadających, gdzie najmniej po kilka kóp w rozpięte siatki się plącze i tak przez noc wielkie stosy tego zbierają. Ponieważ zaś tak wielka liczba razem wpada, głuszą je miotłami i szyje odkręcają. Zjeść tego wprędce nie mogą ale robią zapasy aż do wiosny. Kopią rowy długie gdzie nakładają różne drzewa pachnące a zwięzując po parze żyłami na żerdziach wędzą. Wykopawszy na półtora łokcia dopiero chowają do ziemi te ptaki i konserwują; które tak są smaczne jak najprzedniejsze pulardy; to tylko że nadto są tłuste.

Skoro nastąpi zima, z domów letnich, które mają jedne z kory, drugie ze skór jelenich, wynoszą się do lochów podziemnych Jurtami zwanych. Kopią w ziemi długie korytarze i sale, cembrują wewnątrz drzewem i po czterdzieści lub pięćdziesiąt osób zgromadzają się, to jest cała ich familja. Mają w srodku komin na którym nieustanny trwa ogień; luft tylko jeden do mieszkania służy za okno i drzwi. Miewa do tego jeszcze każde małżeństwo namiot z futer jelenich, lampę od dwóch garncy wydrążoną z kamienia; nalewają wieloryba tłustością, w miejsce knotu kładą mech wysuszony. Ta lampa pali się kilka dni, oświeca i ogrzewa razem : przy niej kobiety odbywają wszelkie swe roboty i szycia. Mężczyzni zaś robią małe pastki na sobole i po kilkadziesiąt już narobiwszy, biorą psy, zapas żywności i na długi czas odłączają się na polowanie sobolów, które łowią następującym sposobem.

Wiedząc gdzie ich jest największe mnóstwo, stawiają pastki na drzewach z pieczoną rybą : soból przeskakując z drzewa na drzewo trafia na pastkę, spieszy do ryby i zostaje w niej ujęty. Zostawiwszy pastki samym sobie przez kilkanaście dni,

myśliwi idą z psami między cedry, wypędzają sobole na drzewa i biją z łuków tępemi strzałami, mierząc w sam łeb, żeby skóry nie popsuć. Przychodzą później do swoich pastek, wybierają zapadłe sobole i z tą zdobyczą wracają do domu, gdzie gromada różnych kupczyków z wódką, tytuniem i innemi cackami na nich czeka. Te kupczyki za nic prawie nabywają prześliczne sobole, lecz uczęstowawszy ich i zabrawszy zdobycz muszą uciekać, bo Kamczadale odurzeni trunkiem gotowi im życie odebrać.

Pogrzeby Kamczadałów. Nakładają wielkie stosy suszonych cedrów trzy lub cztery sążnie wysokości od ziemi, i kładą na to nieboszczyka, wszystkie faworytne jego sprzęta, zbroje, łuki, strzały i łyżwy. Szamanka czyli Sybilla z rozpuszczonemi włosami, w dziwacznym ubiorze, trzymając w jednem ręku palmę, w drugiem ogień, z rykiem niedźwiedzim rozpędzona bieży ku stosowi i zapala. Okropny to widok gdy zacznie dochodzić ogień umarłego; kurczy się i rusza się a po spaleniu Sybilla popioły rozsiewa odsyłając je Bogom.

Niektóre narody chowają umarłych do kloców wielkości człowieka odrębują okrągłe drzewo z korą, wydrążają jak człek może się schować, drugą połowę nakrywszy rozpierają w lasach między dwa drzewa pobliższe, niczem nie uwięzując, które wiekami stoją.

U Kamczadałów największe nieszczęście i głód, gdy morze nie wyrzuca wieloryba, co się rzadko zdarza. Wieloryby zbliżywszy się do brzegu, już nie mogą się wrócić na morze, bo cała forsa balansu ma się do ziemi. W najpóźniejszą jesień największe bywają szturmy, porywają bałwany morskie wieloryby blisko brzegów, łomią je i miotają nimi po kilkanaście razy; zabrawszy je z brzegu, znowu na brzeg unoszą i wyrzucają. Tu dopiero następuje wielkie ukontentowanie dla Kamczadałów; którzy z całej kolonji zbierają się, nakładają wielki ogień i zaczynają naprzód losy rzucać między sobą, komu jaka część ma się dostać wąsów od wieloryba. Najpotrzebniejsze są dla nich te wąsy, których używają do obwodu łuków, na łyżwy dla siebie i na podbicie sanek.

Bywa czasem, że nie mogąc się zgodzić, zabijają jedni drugich. Później zaczynają transzerować wieloryba, odwalając ogromne bryły tłustości, gdyż w nim mięsa jest mało. Tłustość ta służy im przez całą zimę do oświecania mieszkań. Czas długi minie, nim oni wieloryba rozbiorą i przewiozą. Zaczyna już śmierdzieć, wiatry morskie unoszą na ziemię te smrodliwe zapachy, co niedźwiedzie poczuwszy

idą stadami za owym wiatrem, nie zbliżając się nagle, ale po kilkadziesiąt kroków postępując i wstrzymując się Kamczadale różnie ich straszą, nakładaniem wielkich ogniów i krzykiem, lecz oni na to nie dbając coraz bliżej przystępują, tak, że mieszkańcy zmuszeni są opuszczać zdobycz i uchodzić do swoich siedzib. Potem niedźwiedzie wpadłszy, już kończą wieloryba z pomocą tysiącznych morskich czajek. Po upływie dwóch dni same już tylko widać kości, z których wybierają pacierze grzbietowe i zawożą do osad na fundamenta domów.

W niższej Kamczatce znajduje się roślina, z której wódkę pędzą. Podobna jest cokolwiek do kopru naszego, wysoka na dwa łokcie od ziemi; a grubości palca wielkiego u ręki. Roślinę tę zrzynają i w domach na słońcu wędzą. Sok jej tak jest mocny, że za dotknięciem bąble i pryszcze narastają. Wszystko to znoszą do komendanta, który mając już kocioł żelazny, umyślnie sprowadzony z Syberji, pędzi wódkę następującym sposobem : moczy kilkanaście dni w beczkach te rośliny, później kładzie w kocioł i do proporcji dwóch wiader wrzuca dziesięć funtów sucharów; najprzód przez alembik przepędza i zaczyna iść wódka jak mleko biała, potem to przepędzanie kilka razy powtarza, dopóki się nie przemieni, w kolor zielony. Wtenczas staje się spirytus najmocniejszy, przewyższający nasz arak; smak tylko zupełnie trawy. Najwięcej komendant kilka wiader tej wódki otrzymuje, za którą posyłając po innych narodach, wielkie korzyści odnosi w sobolach i w innych futrach.

Komendant w niektóre festyny wydaje bale, a nie mając innego towarzystwa, zaprasza tameczne kobiety i mężczyzny Pierwszą tam osobą jest tameczny Ewangielista i dwóch oficjalistów, którzy w całej kompanji rej wodzą. Za ich przybyciem komendant sprowadza szamanów i szamanki, aby pokazywali swe kuglarstwa i sztuki. Tańce każde idą podług narodowego zwyczaju, najwięcej mruczeniem i pantomimami niedźwiedziemi. Niektóre kobiety w niższej Kamczatce oddzielają się od innych kobiet i zaczynają tańcować jak je Anglicy i Hiszpanie uczyli. Mają dotąd od nich wiele pierścieni i innych pamiątek. Niebezpieczna to rzecz kochać się w Kamczadalce, bo gdy najmniejszą dostrzeże niestałość, natychmiast przez zemstę struje trawami. Dla tej przyczyny w Kamczatce żadnego rodzaju bydła zaprowadzić nie można, bo między najpiękniejszemi trawami są rośliny szkodliwe i trujące.

Komendant na tych biesiadach częstuje herbatą, swoją wód-

ką, rybami i innémi produktami podług tamecznego zwyczaju. Smutna jest pozycja nie mając w tem miejscu z kim obcować.

Gdy już nie miałem żadnej nadziei uwolnienia i powrotu do mojéj ojczyzny, zacząłem myśleć o sposobach wydobycia się z tego nieszczęścia. Gospodarz i strażnik mój w którego domu mieszkałem, przypuścił mnie do konfidencji swojej, który też był nieszczęśliwym, bo knutowany i posłany z Irkucka do niższéj Kamczatki. Był on mieszczaninem, ożenił się z Kamczadalką i miał dozór nad rekwizytami okrętowemi. Po długim czasie, gdy już zupełnie do mnie się przywiązał i wszystkiego się zwierzył, podał mi projekt do ucieczki, zaręczając jeszcze z swojéj strony dwóch namówić podobnie zesłanych na zsyłkę. Mieliśmy zabrać trzy furmanki po siedm psów, najwyborniejszych biegusów, a przysposobiwszy żywność udać się zamarzłemi brzegami Oceanu na cypel Azji do narodów Czukczów, leżących przeciw mniemanéj Ameryce wschodnio-północnéj, kędy Cook przez Sund przesuwał się i dla lodów do odwrotu przymuszony został. Zamiarem naszym było przebywać tam czas niejakiś, dopókiby z przypadku nie przybył jaki okręt wojażujący, do którego punktu niegdyś okręty angielskie i hiszpańskie zawijały. Długo nad tem rozmyślając, sprowadził mój gospodarz jednego z majtków, który będąc porwany od Czukczów, kilka lat w ich kraju mieszkał. Ten niby dla zabawy mojej opisywał mi ich sposób życia, igrzyska i różne obrządki. Przez cały czas swego pobytu pasł u nich jelenie a dla uweselenia oddali mu ku pomocy wzgardzoną żonę, których mają po kilka. To ich przyjęcie najwięcej mnie zastanawiało i wstrzymywało od projektów, gdyż podobnemu losowi musiałbym uledz, nimbym się doczekał przypadkowego okrętu. Jednakowoż przed wykonaniem naszych zamysłów, nastąpiło moje uwolnienie.

ROZDZIAŁ X.

WYPRAWA OKRĘTU DO JAPONJI.

W bytności mojéj wyprawiony był okręt do Japonji z wyrzuconemi na brzeg Kamczatki Japończykami, którzy przede mną półtora roku już tam przebywali. Był to okręt kupiecki, składający się z sześćdziesięciu ludzi i naczelnika swego nazwanego Kadaiła.

Japończykowie nie żeglują po całem morzu, lecz tylko trzymają się brzegów.

Katarzyna Wielka chcąc Nipon zwiedzić i odkryć drogę, zrobiła litość w ich odesłaniu, razem szukając tego narodu przyjaźni i handlu. Przez dwuletnie przebywanie moje w niższej Kamczatce powrócił okręt a Kapitan, który ze mną był w przyjaźni, ofiarował mi kopję mapy dla gabinetu zrobionej cypla Azji z różnych wojażów Cooka, La Perusa, mapy hiszpańskiej i swój wojaż do Japonji.

Wiele mi ten kapitan rzeczy naopowiadał o swojej podróży i o przyjęciu w Japonji. Długi tam czas bawili, oczekiwając na respons Mogoła Cesarza Japońskiego, który tym okrętem miał sobie przysłane pismo od Katarzyny Imperatorowej. Z relacji tego Kapitana miała być odpowiedź niepomyślna, niby zawierająca w takich wyrazach rzecz następną:

1o. Że Japonja nie zna potopu świata i ma tak wielką ludność, że ledwo ziemia wstrzymać ją może.

2o. Religja im broni przyjmować tych ludzi z powrotem, których los na zgubę raz przeznaczył; bo się tak stało, że tym wszystkim ludziom głowy poucinano skoro tylko byli im przywróceni. Ostrzegali zarazem, aby podobnego miłosierdzia nie czynić i od niższej Kamczatki tą drogą nie przybywać, bo inaczej życie stracą. Co się tycze handlu, dajemy wam naszej połowę pieczęci, abyście szli do tych portów, do których przybywają Anglicy gdzie i was przyjmą. Zakazano im pod karą śmierci, aby nie mieli żadnego handlu w ich porcie, tam jednak bawiąc, wiele rzeczy pięknych i osobliwych wywieźli, jako to: parasony drewniane zastanawiającej piękności, naczynia drewniane i różne materje.

Są nad brzegami morza rozwaliny kamienne, gdzie różne się znajdują skamieniałości i petryfikacje w wielkich bryłach, kryształy w kolorach różnych, sople w rozmaitych figurach a dziwnie piękne. Trudny zaś do owych rozwalin przystęp i z lądu i z morza. Żadne w tem miejscu nie mieszkają narody, okręt też żaden przystąpić nie może. Wojażerowie posyłają szalupy ku tym miejscom i znachodzą na brzegach wiele ułomków kryształów i miedzi. W tych miejscach dają się widzieć góry miedziane, których wierzchołki z ubytą wodą czasem się pokazują.

Na wyjeździe moim z niższej Kamczatki, powróciły kupieckie okręty z różnych wysp, po pięcioletnim na nich pobycie. Powynajdywali wyspy nowe i wzięli wielkie zdobycze kamieni i futer rozlicznych. Opowiadali o różnych zdarzeniach i przygodach swoich a między innemi mówili, że płynąc według przeznaczenia, słyszeli od wyspiarzów, że koło gór mie-

dzianych, i kryształowych miał się rozbić okręt, a jak krajowcy wnoszą nie inny tylko La Perusa, bo w czasie tym żadni inni ludzie nie wojażowali; La Perus zaś był tam wszędzie znajomy, gdyż do wielu portów różnych zawijał. Z detalami nawet opowiadali, że okręt był czerwono malowany.

Widziałem u komendanta kilka sztuk konch, jak największy blat podługowaty i wkoło perły wielkości fasoli. Miał on ten prezent od przybyłych tam okrętów. Widziałem także u niego morskie dziwne twory a między nimi raka. Korpus jego był wielkości harbuza, a tysiączne nogi w kłębkach i w różnych festonach po kilkanaście łokci długości. Ciekawość wielka widzieć go w wodzie z rozpuszczonemi nogami: zowią to stworzenie *Słońcem morskiem*.

Są niektórych tradycje, że kilkanaście familji posłanych na zsyłkę i osadzonych nad rzeką Jenisej, miało się przedrzeć brzegami morza lodowatego, prowadząc płaskie i szydłowate statki, które za naciskaniem lodów wciągały je na ląd, skoro zaś lody odpędzone zostały przez wiatr od brzegów ziemi, szli w dalszą podróż. Dwa niby do tej historji są dowody: pierwszy, że znaleźli obraz wielki drewniany przy ujściu rzeki Jenisej do morza, który to obraz cudami słynący był uniesiony z kaplicy między Irkuckiem a Jakuckiem; drugi dowód, że Kamczadale polując na bobry nad morzem lodowatem, które wychodzą z morza i na bryłach lodu spoczywają, zapędziwszy się za nimi postrzegali wielkie wyspy i podobne cerkwie do naszych; wnioskują więc, że owe familje tam przeszły i rozmnożyły się.

ROZDZIAŁ XI.

WZMIANKA O BENIOWSKIM.

Dochodząc do niższej Kamczatki, dokąd było jeszcze dwa tysiące wiorst zabrakło na okręcie wody; przybyliśmy po drodze do portu małego Bolszereckim zwanego i tam przez kilka dni spoczywaliśmy.

Jest na tem miejscu dość osiadłych Syberjanów, różnych majtków i kilka familji Moskali, dawno na zsyłkę posłanych. Była tam także cerkiewka i pop z liczną rodziną. Dowiedziawszy się że jestem Polak, opowiadali mi, że tu u nich mieszkał zesłany August Polak, znany pod nazwiskiem Beniowskiego. Opowiedziano mi całą jego historję i o szczegółach oswobodzenia, gdyż ci sami to opowiadali, którzy byli świad-

kami jego tam pobytu i wyjścia. Co więcej jeszcze, że Kamczadale, których Beniowski zabrał dla niedostatku majtków, byli z nim w Paryżu a później do straży mi przydani w naszej Kamczatce.

Następuje opisanie w jaki sposób oni wrócili do swojej ojczyzny. Beniowski, albo jak go tam nazywano August Polak, dostał się w niewolę za Barskiej jeszcze konfederacji. Gdy z niewoli uciekł był dwa razy z Tobolska, odesłany został z portu Sybirskiego Ochocka przez zalew morza do Bolszerecka, z czteryma innymi niewolnikami. Potrzeba wiedzieć, że Moskale w porcie Sybirskim nie mają żadnych okrętów, tylko najbogatsi kupcy moskiewscy, Irkuccy posiadają małą flotylkę do czterech lub pięciu okrętów, i ciż sami prowadzą handel z Kjachtą, która leży ku południowi, w bok Irkucka, przy granicy Chińskiej.

Kupców niezmiernie kosztuje ta flotylka, lecz to wszystko się wynagradza zdobyczą futer. Muszą posyłać z Irkucka wszelkie potrzeby okrętowe aż do gwoździa najmniejszego. Wszystko się to transportuje końmi do wierzchowia rzeki Leny, rzeką Leną do Jakucka a ztamtąd do Ochocka znowu końmi, przez trzy tysiące wiorst drogi. Bywają przytem i towary różne dla wysepnych narodów, jako to : tytuń, paciorki kolorowe, żelaztwa różne i spirytusy, któremi wszystkie bogactwa od nich wydurzają.

Irkuccy kupcy kupują u komendanta niewolników posłanych na zsyłkę, i okręty swoje takiemiludźmi napełniają, dając im broń strzelecką, żywność i w umowie z nimi obiecują czwartą część zdobyczy z podbicia narodów wynalezionych na oceanie.

Na takim statku i z takimi ludźmi był posłany Beniowski. Przeszedłszy przez zalew morza Ochockiego do Bolszerecka okręt zazimował, a Beniowskiemu wskazano to miejsce do przebywania.

Miał czas Beniowski w ciągu podróży z tymi ludźmi poznać się i wszedł z nimi w przyjaźń, która mu się w końcu przydała. Wyrozumiewał osoby jakiego są sposobu myślenia i determinacji, straszył tych strzelców, że idą z drapieżnymi bić się zwierzętami, że równie utracą swe życie; co jeden drugiemu komunikował pod sekretem, nic jednak nie wspominając majtkom, którzy w Bolszerecku mieli swe domy i żony. Oświadczył im Beniowski, że ich wyprowadzi z tego nieszczęścia, jeśli mu zaufają, na co najchętniej przystali i miał już wszystkich po sobie, którzy mu później poprzysięgli.

Gdy już stanęli na miejscu, stawiony był Beniowski ze czterema innymi przed komendanta Nilowa, w randze majora zostającego. Ten oświadczył im, że tu mają przebywać, że dostaną gaży po jednym piataku dziennie na żywność i odzienie, a kazał aby resztę zarabiali sobie pracą rąk własnych.

Beniowski przebywszy tam czas jakiś i obeznawszy się z mieszkańcami, oświadczył komendantowi, że chce założyć szkółkę uczenia po rusku czytać i pisać, ile że ten język sam dobrze posiadał. Komendant mając dobre serce z chęcią na to zezwolił, i tak Beniowski zaczął mieć lepszą sytuację. Miał pop tameczny trzech synów, niektórzy oficjaliści i majtkowie pooddawali swoje dzieci pod dozór i edukację nauczyciela, których liczba do dwudziestu dochodziła. Ci tedy z kolei karmili go oprócz zapłaty. Nie zapomniał Beniowski o swoim projekcie. Miał czas i sposobność z przybyłymi na okręcie strzelcami i niektórymi majtkami porozumieć się. Którzy nie mieli swych domów i żon, wszyscy byli jednego z nim sposobu myślenia : trudność tylko zachodziła o resztę matjków, którym nie można było sekretu odkryć. Czekał Beniowski zbliżenia wiosny; dwa miesiące pozostawało mu jeszcze czasu nim okręt miał z portu odpłynąć, lecz sekret jego wydał się u komendanta, o czem Beniowski uwiadomiony widząc nagłe niebeśpieczeństwo spieszył ostatnim ażardem wykonać powzięte zamysły, aby uprzedzić swe aresztowanie. Wziąwszy z sobą Chruszczewa, przyjaciela i wspólnika niedoli, przychodzą w nocy do Nilowa komendanta chcąc go tylko aresztować. Znajdują śpiącego na wznak, porywa go Beniowski za ręce, aby się oddał w areszt, Komendant obudziwszy się złapał Beniowskiego za chustkę i gdyby szczęściem nie rozwiązała się, pewnieby go był udusił a w tym momencie przyjaciel Chruszczew nożem przebił na łóżku komendanta.

Po dopełnionej historji Beniowski już się ogłosił komendantem mając kilkadziesiąt strzelców za sobą a mieszkańców z majtkami nie było nad osób kilkadziesiąt.

Kupiec najwyższy komendant okrętowy od kantory Irkuckiej posłany, uciekł żeby go nie zabili i cała zdobycz na okręcie różnych towarów dla wyspenych narodów, spirytusu i tytuniu dostały się w ręce Beniowskiego. Poczęstował swoich przyjaciół spirytusem i tytuniem, co tam jest wielką osobliwością, i tak dodał im męztwa. Majtkowie, mający w tem miejscu domy i żony, pouciekali, co było rzeczą najważniejszą w niedostatku majtków. Beniowski użył fortelu kazawszy

zabrać żony i dzieci zbiegłych majtków i spędziwszy do cerkwi, kazał w około obłożyć drwami, niby chcąc je popalić dla postrachu, aby mężowie wrócili, co się tak stało, że dla miłości żon i dzieci popowracali z lasów i oddali się na respekt komendanta.

Już tedy nasz Beniowski w tym czasie był zupełnie panującym i pewnym, że zimą żaden okręt nie przyjdzie. Oczekiwał tylko pory wiosennej do wyjścia z portu : był wszelako w obawie, bo nad morzem niektóre małe narody zostawały pod władzą komendantów moskiewskich.

W tej będąc niespokojności i lękając się, żeby go połączonemi siłami nie atakowali, zabrał się zupełnie na okręt, chociaż jeszcze był w lodzie, z całą swoją komendą i przesiadywał jak w fortecy.

Po niejakim czasie różni komendanci od małych kolonji, zebrawszy się do tysiąca ludzi, atakowali Beniowskiego na okręcie, ale gdy z armaty bez kuli kazał dać ognia, wszystko to poszło w rozsypkę : część nieznaczna tylko miała broń ognistą, reszta zaś była z łukami.

Po takowej rozprawie już się stał zupełnie beśpiecznym i czekał pory wyjścia okrętu. Wziął z sobą jednego ucznia który był synem tamecznego popa i z nim cały wojaż odprawił. Brakło jeszcze Beniowskiemu majtków, bo nie wszyscy z lasów powrócili, przymuszony był w końcu zabrać kilkunastu Kamczadalów.

Gdy już nastąpiła wiosna, puścił się w podróż na los ślepy, płynąc zawsze ku stronie południowej i tak blisko miał dochodzić Ekwatora, że ledwo wytrzymać mogli nadzwyczajne gorąca.

Wiele po drodze znachodzili wysp i różnych narodów, nad czem robił obserwacje.

Gdy szczęściem Beniowski po wielu trudach i niebeśpieczeństwach przybył do Europy i zjawił się w Paryżu ; oświadczył rządowi, że w czasie swojej podróży znalazł wiele krajów i wysp nieznanych, dano mu eskadrę i puścił się znowu na morze. Lecz po przebieżeniu znacznej wód przestrzeni, doznając różnych przypadków, w czasie lądowania na wyspę Madagaskar zabitym został. Kamczadalów biednych i syna popa zostawił w Paryżu, gdyż nie byli mu przydatni.

Długo ci nieszczęśliwi błąkali się : syn popa był ich przewodnikiem. Na szczęście ktoś ich oświecił, że w tem miejscu jest pełnomocny poseł moskiewski. Udali się więc do niego, a ten dał im protekcję i odesłał ich na okrętach angielskich do

Archangielska. Później stawieni byli do Petersburga, z których opowiadania ułożono dziennik podróży Beniowskiego. Katarzyna II kazała im dać wolność i mieszkanie z pensją, na co się oni nie zgodzili, żądając tylko powrócić do swojej ojczyzny. I w rzeczy samej tak się stało, powróciwszy do niższej Kamczatki przystawieni mi byli do straży.

Opowiadali mi dziwne rzeczy o Paryżu, bo tego pojąć nie mogli podług ich wyobrażenia i sposobu pojmowania rzeczy.

Te wszystkie wiadomości o których tu wspomniałem, są opisane z opowiadania ludzi tamecznych, którzy z Beniowskim razem przebywali w Bolszerecku, gdzie i ja idąc na przeznaczenie moje przez kilka dni spocząłem. O dalszej jego podróży nic nie namieniam, bo historji jego wojażu nie czytałem.

ROZDZIAŁ XII.

O NARODACH ZNANYCH POD NAZWISKIEM CZUKCZÓW.

Ku cyplowi Azji do Czukczów blisko morza lodowatego osiadłych niektóre kolonje i miasteczka są zbliżone, w których różne narody zamięszkały, wiele Syberjanów, Moskali i posłanych na osadę. Po tych osadach są garnizony od napadu Czukczów. Wiele tam przebywa kupców dla futer, gdzie najwyborniejsze znajdują się sobole, popielice i lisy czarne, najbardziej dla Czukczów i Korjaków, z którymi chcą mieć handel.

Jakoż i byli zbliżeni do nich w dobrej harmonji i przez tłumaczów dokazali, że było miejsce wyznaczone, dokąd Czukczowie z wielką liczbą i taborem na jeleniach przybywali. Bardzo wiele od nich Moskale i Syberjanie profitowali, dając im za sobole, kuny i inne futra, w zamianę tytuń, żelazne garnki,paciorki, różne żelastwa i inne cacka.

Kiedy zabrakło Moskalom tytuniu, mieszali liście od kapusty; na czem się Czukczowie poznawszy, w końcu jeszcze dowiedli swoją cnotę i przyjaźń.

Gdy już porozumieli się z sobą, częstowali ich Moskale tytuniem. Ponieważ zaś Czukczowie mają zwyczaj zapalać lulki razem wszyscy i dym połykać od którego mocy zostają na czas krótki odurzeni; więc Moskale korzystając z tej okazji, pozabijali swoich przyjaciół i wszystko im odebrali.

Od tego czasu żadnej już z nimi nie mają zażyłości, ale są największymi ich nieprzyjaciołmi.

Idzie Moskalom najwięcej o to, aby podbić Czukczów dla portu i odkrycia ztamtąd wschodnio-północnej Ameryki, którędy przez ciaśniny Cook przechodził i z przyczyny lodów zwrócić się musiał.

Czukczowie przejeżdzają na łodziach skórzanych i stają trzeciego dnia na brzegach Ziemi Nowej a pomiędzy dwoma temi ziemiami znajdują się trzy wyspy, które oni napadają i odbierają z nich cały majątek.

Podług wszystkich wojażerów, żaden tam duży okręt niemógł dotąd wylądować. Jedni dla miałkiej wody, drudzy dla mgły, inni zaś w małej liczbie nie odważyli się, widząc na drugiej stronie brzegu tłum ludzi. Nikt więc jeszcze nie wylądował na brzegi mniemanej Nowej Ameryki i rzecz dotąd wątpliwa czy to jest półwysep jaki, czy też ciągła ziemia, która się może łączy z Ameryką i innemi dalszemi krajami.

Wnioski tylko czynią, że to musi być Ameryka, ponieważ wiele drzewa i innych znaków przypędza Ocean na brzegi Azji, ale dotychczas żadnej nie ma wiadomości pewnej. —

Dostała mi się mapa z przypadku najdoskonalsza cypla Azji i wysp na oceanie przyległych i wszystkich wojażerów, którzy tylko w jakim roku zawijali : z tej mapy nie pokazuje się, aby którzykolwiek z nich potrafili wylądować.

Rossjanie pozakładali blisko Czukczów cytadele w miejscach dla siebie najużyteczniejszych, nad rzeką Anadyr, gdzie mieli największe połowy ryb i jeleni; ale to nigdy utrzymać się nie mogło, bardzo wiele ludzi z obu stron ginęło w ostatku Moskale przymuszeni zostali ustąpić.

Już od tego czasu nie robią żadnej wyprawy, tylko szukają ich przyjaźni. Ten odległy nadzwyczajnie punkt na mało im się przyda, prócz portu aby mogli z czasem odkryć mniemaną Amerykę.

Czukczowie jest to naród od wszystkich innych różniący się wzrostem, pięknością, fizognomją i szczególną determinacją. Dzieli się na kilkanaście rodów i tyleż mają swoich zwierzchników, wybierają zaś silnych, wysokich i odważnych. Mieszkania ich i zwyczaje podobne są do innych ludów w tej stronie świata osiadłych.

Na zimę mają lochy w ziemi, na lato ze skór lub z kory szałasy.

Religja, obrządki, palenie umarłych, są u nich jak u sąsiednich im narodów : prócz tego, że bardzo starych i cierpiących w chorobie najbliższy przyjaciel zarzyna, oświadczając najprzód, że z czułego przywiązania nie dozwoli nikomu ale swoją ręką skróci mu męczarni.

Czukczowie trafnie strzelają z łuków, na jeleniach zręcznie jeżdżą i w zawody na łyżwach jak ptaki latają. Wytrzymują zimna największe i prawie wszystko surowe jedzą : chcąc ich pobić, potrzeba ludzi im podobnych, aby też wszysko wytrzymać mogli.

W czasie kiedy Moskale na nich napadali w założonych cytadelach, a gdy oni widzieli, że im podołać nie mogą, dzieci swoje i żony zabijali, aby się nie dostały nieprzyjacielowi, sami zaś z wielkiej odwagi ginęli.

ROZDZIAŁ XIII.

Następuje moje uwolnienie.

Podczas mego pobytu w porcie Ochocku, kupiec (o którym wyż nadmieniłem) podjął się rzeczy najniebespieczniejszéj dla siebie, bo z niewolnikiem sekretnym i bezimiennym nikt rozmawiać nie może, a wiedzieć o nim pod karą największą. Ten poczciwy kupiec wziął odemnie listy i drogą handlu przesłał je do Petersburga, gdzie w rok po śmierci Katarzyny II dostały się do rąk Pawła I. Wziął przytém inne listy do niektórych rodaków.

Pawłowi pierwszemu winienem życie i wolność, bo on mnie wynalazł.

W niższéj Kamczatce i po innych cytadelach wyszukiwano przy mnie dwóch pułkowników rossyjskich, z których jeden zwał się Krasnoszczoków, a drugiego nie pamiętam. Byli oni zesłani od Katarzyny II w te strony, ale gdy nazwiska przemieniono, znaleźć ich nie mogli. I ja w podobnéj zostawałem sytuacji.

Prośba pisana do Katarzyny II.

Najjaśniejsza Pani!

« Zasługuję na litość Twoją. Oto ja z nieszczęśliwego narodu Polak, wzięty w krwawym boju, okryty ranami i zesłany w tę dziką i odludną krainę, gdzie głód, nędza i wnętrzna zgryzota duszy, co mnie o moment mało nie pogrąża w ciemnościach bezdennych, jedną się żywię i karmię nadzieją litości. Rzuć tylko okiem na te dzikie i mało różniące się od zwierząt narody a powrócę do życia ; gdzie w słodkiéj spokojności zawrę powieki.

« Cóżem ja winien nieszczęśliwy, że los mnie na łonie ojczyzny mojéj urodził Polakiem, że od dziecinnych lat oddany

do wojska narodu mojego, służąc przez ciąg dwudziestoletni nauczyłem się być wiernym ojczyznie, od której życie, imie, majątek i to wszystko wziąłem co posiada człowiek szczęśliwy.

« I byłżebym tak niewdzięczny, abym w zawołaniu onéj nie stanął na jej obronę?

« Poszedłem ja z narodem, poszedłem drogą, ale w ciemnym tumanie, gdzie i najznajomsi zbaczać mogą, gdy szukając ratunku łzami zlewają się gorzkiemi. Otóż to taka postać moja, gdzie wywieziony z ojczyzny i rodziny mojej, bym jako więzień za ojczyznę kończył byt życia mojego etc. » Reszty nie mogę sobie przypomnieć.

W końcu drugiego roku, gdy już zupełnie pozbawiony byłem wszelkiéj nadziei oglądania kiedyś swojej ojczyzny albo uzyskania wolności, tém bardziéj spodziewałem się, że nadejdzie rozkaz skrócić życie morderczą śmiercią, ile mi zawsze wmawiano dla udręczenia, że najwięksi kryminaliści są posyłani na exekucję przykładnéj śmierci do narodów podbitych, aby się nie buntowali. Człowiek ogarniony nieszczęściami, przypuszczał sobie tysiąc imaginacji i czarnych myśli.

Trapiły one bez ustanku i niespokojną czyniły duszę. W tak smutnéj rozpaczy i oczekiwaniu losu, przybiega gospodarz w którego domu mieszkałem zbladły, zadyszany i wylękły donosząc mi, że okręt pokazuje się blisko portu. Ja mówię mu : powinieneś się z tego cieszyć, a on powiada mi na to : kto wie co przychodzi na nim, smutek czy radość.

Były tu bowiem takie przykłady, że komendant, chcąc złupić narody i wydrzeć im wszystko, donosi gubernji Irkuckiej fałszywie, że się buntują i nie są posłusznemi, a gubernja w skutku tych doniesień daje komendantowi moc i jus gladii.

Ten tedy moralny człowiek wszystkie barbarzyństwa popełnia i majątki wydziera, gdyż ledwo w lat kilka rząd gubernji odbierał raporta. Teraz co rok mają komunikację przez przybywające okręty kupieckie, które składają małą flotylkę w porcie Ochocku.

Nie wyszło godzin dwóch po uwiadomieniu przez gospodarza o zbliżającym się okręcie, gdy wchodzi do mnie komendant z kapitanem okrętu, których ja spostrzegłszy, pomimo tego że byłem pierwej osłabiony, wpadłem w większą słabość, która mi śmiercią groziła, mniemając, że mi wyrok śmierci mojej oznajmić mają.

W tym razie usłyszałem od komendanta, że Paweł I zwraca mi życie i wolność. Z początku nie wierzyłem, sądząc, że mnie

przez to chcę przysposobić do wytrzymania kary dla mnie przeznaczonej; tym czasem przezieram przez okno pęcherzowe a dosyć światłe, czy się już nie palą stosy na moją exekucję, ile że tumulta ludzi zaczęły się, gromadzić.

Komendant i kapitan okrętowy sami nie wiedzą, jak sobie postąpić, gdy ja nie wierzę, żem wolny i odpowiadam tylko, że kontent jestem, iż dziś zakończę moje męczarnie.

Ale gdy kapitan mając listę pierwszych osób polaków, zacytował, że Kościuszko, Wawrzecki, Niemcewicz, Potocki i inni są uwolnieni, dopierom uwierzył. Porywam się z mojego siedzenia uczynić im grzeczność, ale w tym momencie z wielkiej radości pochwiałem się i prawie bez zmysłów upadłem. Dostałem stąd choroby, która mnie zawsze wpół dusiła, jak gdybym był czém przepasany. Doktora w tych stronach nie używają, chyba jednych Sybillów czyli *Szamanek*, które prócz cudów swoich leczą ziołami. — Komendant w tym razie kazał przynieść spirytusu pędzonego z roślin tamecznych. Tego mi nalano w gębę, otworzywszy wprzódy usta kością na miejscu noża, czém w części się upiłem i całe usta spalone zostały.

Puszczano mi krew strzałą kamienną, ale więcej nie poszło nad łyżkę. Po niejakim czasie ocuciłem się i przyszedłem do zmysłów. Proszę komendanta, aby mi dozwolono pójść na brzeg oceanu, dokąd często chodziłem : odpowiada mi, że już straży nie ma, chyba każę iść za sobą : tu już więcéj wierzyć zacząłem, że jestem wolny. Udałem się na brzeg Oceanu z dawną moją strażą, gdzie mi się wszystko opacznie wydawało.

Przed każdą burzą tysiączne pokazują się stworzenia i wszystko tó z bałwanami posuwa się ku brzegom, a mnie się zdawały w oczach różne processje nasze, zakony idące z krzyżami, niby mnie spotykając; szedłem naprzeciwko ich do morza, ale mnie wstrzymano, gdyż byłem pomięszany.

Za powrotem do mojego mieszkania ledwo się mogłem przecisnąć dla natłoku mężczyzn i kobiet, którym wprzódy nie było wolno znajdować się u mnie. Każda z kobiet przyniosła jakiś prezent; różne jagody, ryby, ptastwa z uprzejmością ofiarowali. Na stoliku moim kamiennym znalazłem flaszkę araku, do czterech funtów głowę cukru i świec małych woskowych pęczek : ten prezent zrobił mi kupiec z okrętu. W tém mój gospodarz donosi, że idzie tameczny ewangielista, ksiądz, w ubiorze kościelnym z ewangielją i ze świtą śpiewaków. Jest bowiem w całej Rossji zwyczaj, że z nabożeństwem przychodzą do domów i czynią Bogu podziękowania, a osobliwie po jakim przypadku.

Był ksiądz wieku ośmdziesięcio-letniego, od dawna zesłany a razem dla oświecenia i nauczenia wiary dzikich narodów: dla majtków i officjalistów tam przebywających. Miał ów ksiądz sześciu chłopców zabranych na wyspach Ekuckich, pochrzcił ich i nauczył języka rossyjkiego, z których wykształcili się tacy śpiewacy, że można ich z włoskimi porównać.

Postrzegam, że prowadzą sędziwego xiędza w kapie z ewangielją i trybularzem przed nim niesionym. Starałem się ja też zrobić jakąś okazałość: na prędce zapaliłem do kilkadziesiąt świeczek ofiarowanych mi przez kupca. Miałem też obrazek papierowy na ścianie, wyobrażający świętego Jana Chrzciciela, który jadąc przez kraje moskiewskie za kieliszek wódki u żołdaka kupiłem. Wszedł do mojego mieszkania kiądz z wielką assystencją, gdzie się znajdował komendant z okrętu przybyłego, mnóstwo ludzi i tamecznych mieszkańców.

Najprzód śpiewał cztery ewangielje razem z śpiewakami, które głosy tak zajmowały serca, że żaden od łez wstrzymać się nie mógł. Ja, od maleństwa niesklonny do płaczu, zacząłem prawie ryczeć, co mi nawet zrobiło ulgę od duszenia ustawicznego spazmów. Po skończonem nabożeństwie pousiadali w koło i nie prędko mogli się utulić z żalu. Potrzeba było wyprawić dla nich jaką ucztę, ale nie wiedziałem z czego. W tem przychodzi mi na myśl poncz polski: miałem arak i cukier od kupca, na miejscu cytryn kwas z jagód bruśników, z którym ryby na zimno jadałem, był bardzo gustowny.

Kazałem więc poncz zrobić w naczyniu kamiennem, objętości trzech garncy, do którego Kamczadale nalewają wielorybią tłustość i używają za lampę. Filiżanek drewnianych japońskich miałem część swoich a resztę przyniesiono od komendanta, u którego tam naczynia bardzo wiele się znajduje. Gdy zgromadzeni przy ponczu siedzimy, dopiero zaczyna każdy przypominać swoją ojczyznę ze łzami; ksiądz i komendant ubolewali, że oglądać jej nie spodziewają się wcale. Ksiądz jako tam na zawsze zesłany, a komendant przez długie tamże przebywanie od wulkanowych dymów i powietrza długo nie wytrzyma.

Przy owym ponczu odzywa się komendant, powiadając mi, że ja tu jeszcze lat trzy zabawię; na com się zmieszał i zacząłem być słabszym. Rzekłem do komendanta, to ja widzę zdradzonym siebie; odpowiada mi na to, że nie, bo ten okręt co tu zaszedł dla wody i drew, przyniosł wprawdzie rokaz uwolnienia, lecz jutro wychodzi na wyspy oceanu i dopiero z po-

wrotem za lat dwa lub trzy jeżeli nie będzie prędzej okazji, zabierze mnie z sobą. Oświadczył mi razem, że dziś nie ma żadnej sposobności aby mnie odesłać, zwłaszcza że zima już nadchodzi. Rażony tak smutną wieścią, zacząłem na nowo rozpaczać i tracić nadzieję oglądania ojczyzny.

Komendant widząc mnie bardzo zmartwionego, kazał przyjść dwóm Sybillom czyli Szamankom i zgadywać jaki mnie los czeka : ja w tym czasie mając pomieszany umysł, wierzyłem wszystkiemu co one przepowiadały.

Najprzód te Szamanki pokazały się w porze wieczornej przy świetle w najdziwniejszych ubiorach, i usiadły za oddzielnym stołem. Każda z nich miała białą suknię z gronostajów : cała suknia we fręzlach z żył, traw kolorowych, konch, różnych robaków i wiele skórek różnych myszy powypychanych. Na głowie kaptur z odartej skóry rosomaka z zębami, a z tyłu wilczy ogon. Twarzy nie można było rozpoznać, bo całe były tamborowane podług ich zwyczaju. Nad oczyma wisiały fręzle z sierci jeleniej i każda z nich miała jelenią łopatkę. Lampy kamienne przed niemi stały. Jedna z nich paliła kość nad płomieniem od lampy, druga wybiegała z mieszkania, okręcała się w koło patrząc na niebo, a powróciwszy, swoim językiem opowiadała swojej towarzyszce.

Komendant zapytał się przez tłumacza co one widzą? Odpowiadały mu : że okręt przychodzący i wiele ludzi w różnych kolorach, których już dawno tu nie widziano. Zapytał się znowu, że chce wiedzieć co się stanie z tym cudzoziemcem? jak on prędko od nas wyjedzie? odpowiadają mu, że krótko będziem się z niego cieszyć, ponieważ widzimy go stojącego w progu, w białej sukni z manatkami. Po tej radości i smutku kompanja się rozeszła a ja zostałem w niespokojności.

Już sypiać zupełnie nie mogłem, cierpiałem nieustannie jakieś dławienia i z sił widocznie spadałem. W kilka dni przychodzi komendant i donosi mi, że okręt angielski bez masztu, oderwany od floty, przybył do naszego portu i wręcza mi depesze do przesłania na Irkuck do Petersburga, do ich posła.

Miał komendant rozkaz surowy w takich zdarzeniach donosić to gubernji Irkuckiej, ile że Anglja naówczas zostawała w największej harmonji. Był więc komendant w wielkim ambarasie, że nie miał okrętu do przesłania oddanych sobie depeszy, tem bardziej, że zima już się zbliżała.

ROZDZIAŁ XIV.

WYJAZD Z KAMCZATKI.

Okręt angielski, zostawszy naprawionym odszedł w swoje przeznaczenie.

Pierwszych dni listopada, gdy brzegi oceanu dobrze zamarzły, robi komendant wyprawę ażardowną do Ochocka, dokąd już kilka podobnych wypraw czyniono, lecz z tych ledwo dwie doszły, inne zaś dla wielkich mrozów i napadu Czukczów lub innych narodów dojść nie mogły.

Komendant jednak dopełniając swego obowiązku, zaprzęga do trzysta psów i jeleni zbiera świtę zbrojną, kilkanastu tłumaczów, ryb suszonych dla ludzi i psów równie jak mięsa jeleniego na trzy miesiące przysposabia, i zamarzłymi brzegami oceanu w koło tej całej ziemi, dziesięć razy dalej, niebespieczniej i trudniej jak morzem, puszczamy się w podróż. Do tej karawany i mnie policzono za największą prośbą i obligacją ewangielisty, bo komendant nie chciał mię puścić, dając przyczynę, że żaden europejczyk nie zdoła tak wielkiego zimna wytrzymać, a prócz tego są jeszcze tysiączne przypadki, którym uledz można.

Około 15 listopada 1796 roku, zaczęliśmy się sposobić do podróży. Komendant kazał dla mnie zrobić sanki, gdzie pudło ułożone ze skór jelenich i niedźwiedzich mało się różniło od naszej karety : okno miałem ze śludy (kamień tak nazwany). Pojazd mój był bardzo ciepły, ile że miałem dwa psy żywe kosmate, bo inaczej nie wytrzymałbym zimna. Do tego jeszcze dał mi komendant na drogę kilka flaszek kamiennych spirytusu z traw tamecznych pędzonego, i to mi pomagało do ciepła. Lubo byłem bardzo słaby jednak udawałem zdrowego, boby komendant nie pozwolił mi wybrać się w tę podróż.

Nauczono mię na miejscu, abym mój tytuń i różne cacka na cząstki małe porozdzielał i miał to w pogotowiu dla dania prezentów narodom, z któremiby się można było spotykać. Do mojego powozu miałem trzynaście psów zaprzężonych, dyszel rzemienny bez lejców, jeden tylko pies przewodnik idzie w zaprzęgu. Kamczadal zwykle usiadłszy bokiem na przodzie sań trzyma się za poklaski, lecz mając łyżwy na nogach, mało co siedzi tylko wraz z psami leci. W ręku ma osztoł czyli kij gruby, z żelazem na końcu dla wstrzymania psów i sań : gdy bowiem usiłuje psy wstrzymać, obraca bokiem sanie i hamuje. Na wierzchu osztoła jest wiele kółek żelaznych i dzwoneczków, czego się psy najwięcej boją, to służy na miejsce

batoga. Pies dobrany do przodkowania tak jest zmyślny, że biegnąc ustawicznie się ogląda na skinienie i słowa Kamczadala, w którą stronę ma się rzucić. Ponieważ żadnej drogi nie widać śladu, więc trzymają się brzegów ziemi jadąc podług kierunku gór najwznioślejszych a nad brzegami Oceanu leżących, które i nazwiska swe mają.

Nastąpił dzień wyjazdu, odprawione było nabożeństwo : tameczny ewangielista pobłogosławił mnie i zrobił pamiątkę srebrną z napisami i wielu krzyżami w tych wyrazach : « Tobie krzyżu kłaniamy się i zmartwychwstania drugiego oczekujemy ». Ten upominek drogi do dziś dnia u siebie konserwuję. Ów ewangielista mając parafję swoją na pierwszej stacji zmiany psów, gdzie między Kamczadalami wiele zamieszkało majtków i Syberjanów, a których przez kilka lat nie był widział, przy tej ekspedycji wybrał się z nami dla stwierdzenia chrztów i ślubów.

Pierwszy raz jechałem takim ekwipażem. Było w ogóle ludzi do trzydziestu a więcej do sta psów. Cały ten bagaż najprzód był prowadzony z góry nad brzegi morza, ile że kolonja zawsze wysoko nad morzem stoi. Zaprzężono potem psy na równych lodach, aby się z miejsca nie poplątały.

Krzyknęła razem cała świta najokropniejszym głosem i zabrząkali wszyscy swojemi osztołami, u których, jak wyżej namieniono, znajduje się wiele kółek i dzwonków. Wnosić tedy można, z jaką szybkością psy ruszyły : zdawało się, że od tak prędkiej jazdy powietrze głowę zrywa i cały już człowiek został odurzony. Pędzą one z całej siły aż się zmordują; potem już biegną powolniej. Sanie i psy idą po wierzchu zlodowaciałego śniegu, dla tego jest niezmiernie lekko; popasu nie bywa tylko nocleg. Nim z miejsca samego wyruszą wprzódy przez dwa dni psy głodzą, a stanąwszy na noclegu wybierają miejsca leśne albo gdzie morze wiele drzewa powyrzucało : tam dopiero psy wyprzężone zwinąwszy się w okręg zasypiają, a w godzin dwie każdy z nich dostaje po jednej suszonej rybce i tym pokarmem trwa całą porę.

Cała świta ma dość pracy, bo musi na każdym noclegu wielką w śniegach wykopywać jamę i sięgać aż do ziemi. Kopią ulice jakby do jakiego zrębu i niezmierne nakładają ognie. Wiatr tam nie dochodzi, prócz mrozu wielkiego. Ja do mojej z futer karety sypiać chodziłem; ubierając się dubeltowie, zawsze cierpiałem zimna największe, bo byłem chory.

Jak dzień nastaje, zaprzęgają psy i puszczamy się w dalszą drogę. Szóstego dnia zbliżyliśmy się do pierwszej kolonji ale

nie mogliśmy trafić, bo mieszkania w ziemi zupełnie śniegiem zawiało. Niektóre psy, co bywały w tem miejscu, pokładły się i dalej iść nie chciały. Poznały, że w tych miejscach są mieszkańce : pospuszczano psy, niektóre z nich zaczęły szczekać i natychmiast odkryto kolonję, gdzie powychodzili Kamczadale i my z ekwipażami zbliżyliśmy się. Okno czyli luft okopcony był dymem, którędy po drabinie musieliśmy do lochów włazić. Ja, że byłem chory i bardzo grubo ubrany, spuszczono mnie na sznurach. Kobiety wszystkie okurzały nas głowniami z dymem, abyśmy im zarazy lub ospy nie przywieźli. Usiadłem koło ognia i zacząłem gotować herbatę. Cukier lodowaty i kociołek miedziany miałem przywiązany do pasa, gdyżby to zaraz ukradli. Uderzony powietrzem smrodliwem owego mieszkania, zacząłem cierpieć wielkie nudności : wołam więc Ewangielistę, lecz go nie było, bo poszedł po korytarzach witać mieszkańców pracujących i bawiących się przy lampach swoich. Po niejakim czasie wraca Ewangielista do ognia i zaczynamy pić herbatę. Poprzynosili za nim wiele soboli, gronostajów i wyporków jelenich.

Mówi wtem do mnie Ewangielista, że ja, mieszkając przez lat dwa w niższej Kamczatce nie wiedziałem o ich skarbach, które się tam znajdują. Jakoż rozwija korę brzozową i pokazuje mi kilka grzybów suszonych powiadając, że one są cudowne, rosną na jednej tylko wyniosłej górze blisko wulkanu.

Uważ Panie, rzecze Ewangielista, że te futra dostałem za grzyby i oni gotowi cały majątek oddać, gdybym ich posiadał więcej. Te grzyby mają taką własność, że kto ich zje, widzi swoją przyszłość. Ponieważ nie mogłem sypiać, radzi mi więc, abym zjadł jeden. Wachałem się długo, lecz namyśliwszy się zjadłem połowę, co mi najmilszy sen sprawiło. Ujrzałem się nagle w najprzyjemniejszych i najgustowniejszych ogrodach, wśród rozlicznych kwiatów, między kobietami ubranemi w białe suknie, i fetowały mnie różnemi owocami i jagodami i tysiące innych przyjemności. Spałem dwie godziny więcej nad mój sen zwyczajny.

Na drugą noc namawia mnie abym zjadł całego. Ja byłem już odważniejszy, zjadłem grzyb cały i w kilka minut zasnąłem. Obudziłem się w godzin kilka, niby posłany z tamtego świata, aby mnie ten ksiądz wyspowiadał. Mogła być północ, gdy zbudziłem Ewangielistę, który wziął stułę i mnie spowiadał. W godzinę zasnąłem znowu i spałem aż do dwudziestu czterech godzin. Nie śmiem o moich w tym śnie okropnych widzeniach namieniać; przez com przechodził i

com widział. Później przywiódł mnie ten grzyb do wielkiej niespokojności i melancholji, bo temu wszystkiemu długo wierzyłem. Ostrzegałem też mojego Ewangielistę, co on złego robił, aby się poprawił. Na to wszystko widziałem i przyszłość swoją : co mnie tem więcej czyniło niespokojnym, że później niektóre z tych sennych marzeń sprawdziły się na jawie. Namieniam tylko, że od powzięcia rozumu czyli od lat pięciu lub sześciu, postępowanie całego życia w dalszych latach ; wszystkie osoby jakie tylko znałem w życiu i z któremi przyjaźń mnie łączyła ; wszystkie zabawy i czynności z kolei, dzień po dniu, rok po roku, i przyszłość następną, wszystko to widziałem przed sobą.

Po wypoczynku trzechdniowym pobłogosławił mnie Ewangielista i pożegnał się ze mną. Zrobiwszy zapasy żywności dla psów i ludzi, niektóre słabsze psy pozamieniawszy, wzięliśmy dwóch nowych przewodników i puściliśmy się w dalszą podróż.

Przez kilkanaście dni nie widzieliśmy żadnej kolonji. Potrzeba było jechać blisko ziemi Czukczów, byliśmy w największej obawie aby się z nimi nie spotkać, co nas później nie minęło, ponieważ oni zawsze napadają i rozbijają nie cierpiąc Syberjanów i Moskalów.

Mieliśmy dla nich niektóre przygotowane prezenta w tytuniu, szkiełkach i innych cackach : do tego jeszcze mieliśmy tłumacza, który dobrze posiadał ich język, a mimo największego pośpiechu w jeździe nie mogliśmy ich uniknąć. Do trzydziestu Czukczów jadących na jeleniach z polowania, niektórzy w czółnach, bo taki mają zimowy ekwipaż, napadli na nas. Tłumaczowi winniśmy ocalenie życia. Ten demonstrował im najprzód; że wiozą człowieka z niewoli, który równie jak i oni bił się za swoją ziemię; dziś go wraca i wzywa Car biały, o którym prorokinie im opowiadają, że jest bardzo skrzydlaty i po kilka światów unosi. Mieli z sobą wiele soboli poprzewieszanych z mięsem, bo w sidłach były łowione. Przyskoczyli najpierw do mojej kibitki, zdarli kaptur futrzany i przypatrywali się twarzy, którym ja zaraz przygotowane prezenta dawałem. Byli z tego bardzo kontenci i wzajemnie rzucili do mojego powozu kilkanaście soboli i trzy lisy na pół czarne. Tak tedy niespodziewanie i szczęśliwie rozstaliśmy się z nimi, którzy przed kilku laty dwie ekspedycje posłane rozbili. Wszyscy więc Kamczadale i cała i świta była mi wdzięczna za swe ocalenie, a najwięcej tłumaczowi, któremu zrobiliśmy składkę w tytuniu i innych cackach.

Na każdem miejscu nocleg odbywał się pod gołem niebem, gdzie w najcięższe mrozy wypadało zawsze śnieg kopać i dobierać się do ziemi dla rozłożenia ognia, o czem wyżej namieniłem mówiąc jakim sposobem psy karmią i noclegują. Przybyliśmy do kolonji czyli miasteczka od kilku set domów zwanego Iżygińsk a zamieszkałego przez wielu Syberjanów i Moskali.

Była tam komenda do kilkudziesiąt ludzi zbrojnych dla zasłonienia narodów przed napadami Czukczów. W tém to miejscu spoczęliśmy dni kilkanaście, ponieważ byłem słaby bez nadziei życia. Słabość moja powiększyła się jeszcze, gdy mnie z zimna do ciepłego domu wniesiono. Nie było doktora gdzieby się zaradzić, tylko niejakiś stary, odstawny żołnierz puścił mi krew w ilości pół garnca i tém bardziej mnie osłabił. Z owéj krwi w godzinę zrobiła się czarna woda. Dostałem największych potów, z oczu strumieniami woda się lała; dławienia ustawiczne i miljonowe kłucia na całem ciele. Po kilkunastodniowym wypoczynku mało mi się polepszyło; jednostajne symptomata nie odstępowały.

Na drugi miesiąc przybyliśmy do portu Ochocka, zkądem się wprzódy był ambarkował na okręcie. Byliśmy napadnieni od burzy ziemnej, w któréj śnieg tak się kręci, że wśród dnia ciemność nocna nastaje. Gdyby nam przyszło było stać kwadrans na jednem miejscu, zostalibyśmy nieochybnie zasypani z całym ekwipażem; lecz my natychmiast uciekaliśmy pod skały lub do gęstych borów, spiesząc niekiedy psom na ratunek, aby nie poginęły w śniegu; trwała ta burza blisko trzy dni. Zabrakło nam żywności a jeszcze na dni kilka byliśmy od Ochocka odlegli.

Dla oszczędzenia żywności dla psów, Kamczadale byli zmuszeni zjadać psy same. Już nam przychodziło ginąć w tem miejscu. Psy nie odbierając swej porcji zwyczajnej, na siłach ustawały i między sobą się gryzły rozrywając słabsze. Żadnego futra, rękawic ani kaptura przed nimi położyć nie można było, bo to wszystko z głodu porywały i zjadały. Ja miałem cokolwiek jeszcze żywności, jako to: mięso odgotowane jelenie, trochę ryb więdłych i część małą okruszyn sucharów w woreczku skórzanym, co mi komendant udzielił na drogę. Miałem prócz tego herbatę i trochę wódki, a ten cały mój magazyn idąc spać pod głowę kładłem, gdyżby mi to ukradziono.

Wypadało nam jeszcze przebywać miejsce z całego wojażu najokropniejsze, przez górę bardzo wyniosłą, którą Rossjanie i Syberjanie nazywają *Babuszka*.

Właziliśmy na tę górę z niewypowiedzianą trudnością. Przez kilkanaście dni nieraz sanie i psy w tył się cofały. Spuszczaliśmy się z jej wierzchołka mając u nóg niby łyżwy nabijane gwoździami, podobne do szczotek. Za siedzenie służyły nam małe czółenka z rzemieni, a na ręku rękawice z gwoździami. Psy wyprzężone same się spuszczały zlatując kłębkiem tak poplątane, że się wstrzymać nie mogły. Ekwipaże staczano, my zaś wszyscy zjeżdżaliśmy na owych czółenkach. Niebespieczeństwo a raczej niepodobieństwo było przeprawić się przez tę górę, gdyby nie krzaki cedrów wyglądających z pod śniegu za któreśmy się chwytali, straciwszy równowagę niewątpliwa czekała nas zguba.

Spuściwszy się z owej strasznej góry spotkaliśmy Tunguzów z wielką trzodą jeleni, u których znaleźliśmy podostatkiem wszelkiej żywności dla siebie i psów. Tunguzowie byli nam wielce radzi; zabili młodego jelenia, którego język sam gotowałem i bardzo był smaczny. Tu wszystkie narody na każdem weselu i biesiadach nim traktują i bez niego obejść się nie mogą.

Nazajutrz przybyliśmy do portu Ochocka, skąd dawniej wypłynąłem, udając się do niższej Kamczatki.

ROZDZIAŁ XV.

PRZYBYCIE LĄDEM DO OCHOCKA.

Znalazłem w tem miejscu tegoż samego komendanta kniazia Myszyńskiego, Jegora Pietrowicza, najgorszego tyrana, z którym odbywałem podróż na wierzchowych koniach z Jakucka do Ochocka.

Bawiłem w tym porcie dwa miesiące, dopóki nie przyszła karawana z Jakucka z różnemi rekwizytami do okrętów, podług zwyczaju. Konie były najęte przez kupców Irkuckich, którym dałem kilka soboli i dwa lisy bure; za co mnie dostawili na powrót do Jakucka.

Miałem bardzo wiele petryfikacji różnych, jedne darowane na pamiątkę od tamecznych oficjalistów, drugie mojego własnego zbierania. Miałem też suknie najdziwniejsze, w których Sybille odprawują swoje ofiary; koszule z kiszek ryb morskich, suknie z kory, ptaków morskich i kamienne ze śludy, wszystko to komendant w Ochocku odebrał. Niektóre szczątki pozostałe tych ubiorów, jedne złożyłem w świątyni

Sybilli w Puławach, drugie w Porycku w kolekcji Tadeusza Czackiego.

Nim wyjechałem z Ochocka byłem najbardziej chory. Uformował mi się nie wiedzieć z czego, guz niżej piersi większy od dojrzałego jabłka. Ten guz sprawował mi największe nudy i dławienia. Doktora tam nie było żadnego, któryby mógł ratować, ale mój gospodarz doradził mi udać się do tunguzkich szamanek, które większą moc mają robienia cudów niż kamczackie.

W takiej tedy nieszczęśliwej sytuacji postradawszy zmysły, zupełnie oddałem się ich leczeniu. Najprzód sprowadza on dwie Sybille, aby mnie widziały i zadecydowały o mojej chorobie. Przyszły więc dwie najszkaradniejsze baby w swoich dziwnych ubiorach; oglądały mnie,dotykały się guza i odskakiwały powiadając, że kamczadalskie Sybille przez zazdrość nasłały na mnie swojego djabła i kość do morza wrzuciły: trudno będzie go wypędzić, ale my go wypędzimy. Gospodarz naucza mnie, aby na to wszystko zezwolić, co one zechcą robić. Kazał jednak zapłacić im wprzódy i sam został nagrodzony.

Gospodarz był to Syberjanin, w garnizonie Ochockim odstawny majtek. Usłuchałem jego rady we wszystkiem. Najprzód Sybille przyniosły z sobą suche cedrowe drewka i dużą kamienną płytę, na której rozłożyły ogień a mnie kazały usiąść niezbyt wysoko i nie lękać się niczego. Potem zaczynają swoim językiem coś do ognia gadać, jedna z nich zaczyna pełznąć do mnie z ryczeniem głosu niedźwiedziego i zbliżywszy się na krok, rzuca się na mnie szarpiąc zębami wszystkie suknie aż do samego ciała gdzie guz był uformowany. Zaraz potem upada na wznak, zostaje jakby w konwulsjach i do rozpalonego ognia toczy się . Gospodarz w tym momencie ostrzega abym patrzał na jej gębę. Jakoż postrzegam, że ma kręcącego się w zębach dużego czarnego robaka, i powiada mi gospodarz : widzisz panie że dobyła djabła. Druga jej towarzyszka wyrwała z gęby i na stos ognia rzuciła, poczem zaczęły niezmiernie cieszyć się i skakać, że otrzymały zwycięztwo.

Wziąwszy swą zapłatę odeszły. Gdy mnie odurzali owem kuglarstwem, zdawało mi się przez imaginację, że czuję jakieś ulżenie, lecz nazajutrz wróciłem do dawnego stanu. Udaliśmy się w dalszą podróż do Jakucka z powracającym transportem : popasy i noclegi odbywaliśmy sposobem pierwszej drogi.

Droga nie była mylna, bo końskiemi kopytami usłana; gdyż od czasów niepamiętnych karawana tędy przechodząc, ustawicznie wiele koni utraca pod ciężarem i od samychże niedźwiedzi.

Stanęliśmy w Jakucku skąd niedługo do Irkucka ruszyłem. Prowadzą do tego miasta dwie drogi. Kupcy z większemi ciężary różnych futer i zdobyczy, płyną rzeką Leną naprzeciw wody i zaledwie na dzień mil cztery ujść mogą; tak niezmiernie jest bystra.

Inna droga po nad brzegami rzeki jest poczta konna.

Kilka dni jechałem wodą, ale znudziwszy się do ostatka i będąc osłabiony, wziąłem pocztę konną. Miałem wszelkie wygody po stacjach, gdzie posłani na zsyłkę koloniści byli osadzeni. Żyją oni rybami, sieją też jarzyny i ogrodniny, biją zwierza i tem opłacają podatek skarbowy. Za brzegami Leny żadnych nie ma osad, tylko kraina bezludna i dzika, gdzie same najwynioślejsze skały i przepaści, niskiemi borami pozarastałe. Tu jednak natura jest dziwnie piękna. Jadąc albowiem nad wodami Leny, widać formujące się z wyniosłych brzegów kamiennych różne piramidy jakby miasta jakie, których sytuacja co ćwierć mili się zmienia. Tysiączne kaskady z gór spadają do rzeki; kamienie świecą się różnym kolorem od słońca i wiele innych kamieni i kryształów znajduje się ponad brzegami Leny. W przejeździe moim do Kamczatki nie były mi te kolonje i narody znajome, ponieważ rzeką byłem wieziony.

Na każdej stacji koloniści byli gościnni, nie wymagali zapłaty za żywność i inne usługi. Opuszczając jakie miejsce miałem zawsze konwój i każdy mi opowiadał o swoich awanturach. Znalazłem bardzo wielu niewinnych podług ich opowiadania. Było między nimi różnego stanu ludzi.

O trzysta wiorst od Irkucka spotkałem dzikie ludy, których zowią: Brackie narody i te mnie dostawiły końmi w powozach do Irkucka.

Te narody są liczne, mają wiele koni i bydła; z całym swoim taborem wynoszą się na zimę do lasów i tam przemieszkują. Na lato zaś dla paszy bydła wracają na płaszczyzny koło Irkucka leżące.

Cały ten naród na jednem prawie rozkłada się miejscu i do dwóch mil zajmuje ziemi. Robią doczesne z ziemi lepianki, co z daleka wygląda jak najogromniejsze miasto. Nad każdem niemal mieszkaniem są powywieszane skóry jelenie na bardzo długich żerdziach, co znaczy ofiarę dla Bogów. Ubiory

tych ludów są dziwaczne, ze skór jelenich i końskich. Fizjonomje najstraszniejsze, twarze oliwkowate i szerokie; religja pogańska; szamanki czyli sybille i u nich są w modzie. Roli nie uprawiają, chociaż ziemia jest żyzna w okolicach Irkucka. Żyją mięsem, mlekiem koni i bydląt. Opłacają podatek częścią w pieniądzach, częścią w futrach, które za sprzedaż koni i bydła dostają.

ROZDZIAŁ XVI.

POWRÓT DO IRKUCKA.

Gdym wjeżdżał do Irkucka na rogatkach wzięto mój paszport i kazano czekać: a że byłem w ubiorze Kamczackim lud zaczął się gromadzić, dla przypatrzenia się owemu ubiorowi. W godzinę komendant przyjechał, zabrał mnie z sobą i odwiózł do wyznaczonej kwatery stosownie do rangi.

Chciał, abym się zaraz udał do Jeneral-Gubernatora; odprosiłem się atoli, że strasznie zdrożony i chory jestem a nie mam w czem się prezentować, prócz tego dzikiego stroju. Zabawiwszy komendant kilka minut zostawił mnie na kwaterze i sam odjechał.

Był to dom kupca, który postrzegłszy u mnie sobole, gronostaje i inne futra, natychmiast kazał przynieść sukna szaraczkowego, które tam jest niezmiernie drogie, przytem bielizny i innych rzeczy do ubrania się.

Trzeciego dnia już cokolwiek wypocząłem i po europejsku byłem ubrany, a starą garderobę kazałem wynieść na dach do przesuszenia, co sprowadzało tłumy ciekawego ludu. Tegoż dnia komendant przyjechał i zawiózł mnie do Jenerał-Gubernatora, dokąd dojeżdżając spostrzegłem ogromny dom drewniany i do dwóch set ludzi wartę. W samym Irkucku trzy pułki utrzymują oprócz jazdy, ponieważ okolice pełne są rozmaitej hordy. Granica Chińska jest w pobliżu, a prócz tego wiele niewolników z różnych narodów i różnego stanu oddawna tam zamieszkało. Miasto jest bardzo rozrzucone: domów liczą do czterech tysięcy, z tych kilkadziesiąt murowanych i kilka cerkwi architekturą chińską, tatarską i ruską zabudowanych.

Komendant wprowadził mnie na salę obszerną, gdzie postrzegłem kilku orderowych jenerałów stojących nieśmiało i pokornie, gdyż potrzeba wiedzieć, że tameczny Jenerał-Gubernator ma *jus gladii.*

Gdy mu doniesiono o mojem przybyciu, wyszedł do mnie, a wziąwszy za rękę poprowadził do swojego gabinetu, posadził koło siebie i zaczął prezentować mnie, przybyłemu w tym dniu z Petersburga od Pawła Jenerałowi Sumowowi, który był przysłany dla przeglądu tameczuych wojsk, i tenże jenerał przed moim wyjazdem wiele rzeczy dla mnie pochlebnych nagadał.

Zaczyna do mnie jenerał Sumów mówić, że się zna ze mną tylko przez huk broni i dym prochowy. W tem Jenerał-Gubernator bierze mnie za rękę powiadając : słyszałem, że byłeś dobrze położony u Kościuszki; tem bliżej proszę koło mnie siedzieć, ja takich ludzi kocham, którzy byli gorliwi dla swojej ojczyzny. Dodał jeszcze te słowa : ja kraj polski i wielu bardzo Polaków znam, bom lat kilka w Polsce konsystował po różnych prowincjach. Mówił zaś bardzo dobrze językiem polskim. Byłto człowiek bardzo uczciwy, sprawiedliwy i moralny, co mu cała powszechność przyznawała. Był on rodem Hanowerczyk, nazywał się Krysztof Andrejewicz Treiden.

Pomimo wielkiej surowości Pawła, on do tysiąca nieszczęśliwych utrzymywał w Irkucku, którzy podług ukazu powinni być natychmiast rozwiezieni po różnych miejscach : jedni na osady, drudzy do kopalń, inni do zamknięcia po cytadelach. Podczas mej bytności w Irkucku, wielki był napływ ludności dla przybyłych z Rossji osób, jako to · żony z mężami, dzieci za rodzicami, przyjaciele i słudzy. Oni tu wszyscy zmierzali wiedząc, że to miejsce jest portem dla nieszczęśliwych wygnańców przez Pawła Pierwszego.

Jenerał Sumów, przybyły z Petersburga, wziął mnie z sobą pewnego wieczora i zawiózł do Komendanta na kolację. Był to dzień imienin żony jego, która należała do dworu Imperatorowej, a on sam z gwardji : oboje ludzie bardzo moralni.

Przybywszy do jego domu, zastałem stół ubrany na osób kilkadziesiąt, drzewami chińskiemi ozdobiony. Deser z różnych bakaliów i fruktów chińskich. Kolacja była od samych galaret, zwierzyny, ryb najprzedniejszych i lodów.

Zasiadali ten stół sami nieszczęśliwi : różnych rang osoby, kobiet bardzo wiele pięknych i dystyngowanych, lecz w postaci najsmutniejszej, które za mężami poprzyjeżdżały.

W tem mieście bawiłem dni kilkanaście, gdzie trzeciego dnia po przybyciu, oddał mi wizytę guberski kaznaczej dopominając się o zwrot rocznej pensji niewolniczej. Miał bowiem rozkaz wypłacić z góry na lat dwa jadącemu w przeznacze-

nie moje, ponieważ tam dalej żadne pieniądze nie kursują, za co nakupowano dla mnie sucharów, krup, tytuniu, etc. a co wszystko gdy się okręt rozbijał, w niwecz poszło, prócz jednego tytuniu, któremu nic nie szkodziło. Powiada mi więc, że od momentu uwolnienia mojego zakończyła się gaża: nieszczęściem mojem, że w rok dopiero doszła wiadomość uwolnienia, a pieniądze skarbowe za rok potrzeba wrócić. Rzekłem mu na to: W Pan widzisz, że żadnego nie mam sposobu ani tego opłacić, ani za co do kraju dostać się.

Po tej wizycie odjechał, zaczynam być niespokojnym i rozpaczać; w którejto najsmutniejszej rozwadze przychodzi jeden Sowietnik, który był kapitanem sprawnym w Jakucku w czasie gdym był wieziony do Kamczatki. Ów Sowietnik kilka razy mnie zapraszał do domu swojego, gdzie z komendantem bywałem. Człowiek bardzo uczciwy i bogaty w futra, nazwiskiem Anton Sciepanowicz Hornowski, z krajów Polskich dawniej zabranych, i ten dał mi sposób dostania się do swojej ojczyzny.

Najprzód zapłacił pretensję Kaznaczejowi, za to żem rok dłużej siedział w niższej Kamczatce po wyszłym ukazie; za cztery tysiące wiorst do Tobolska na cztery konie dał mi futro, część pieniędzy i zapasy do życia, co to wszystko uczyniło rubli asygnacyjnych 500. Tenże sowietnik Hornowski kazał dać kartę na te pieniądze wexlową kupiecką i odesłał ją do Petersburga bratu swojemu, podpułkownikowi odstawnemu tam mieszkającemu.

Gdy w lat sześć po przybyciu do kraju byłem w Petersburgu dla odzyskania majątku spadającego na mnie, tenże podpułkownik przychodzi do mnie z policją, składa wexel i każe płacić sobie *alterum tantum*; gdyż prawo wexlowe w pięć lat za nieopłacenie pozwala tyle zyskiwać.

Wtedyto byłem najbardziej zaambarasowany, nie mając sposobności wypłacenia owego długu. Na szczęście moje znalazł się przyjaciel, który za mnie zapłacił, pułkownik były wojsk Polskich Tadeusz Widzki. Tenże dał mi więcej dowodów swojej przyjaźni w interesach moich, i nie mogę zamilczeć przez wdzięczność.

ROZDZIAŁ XVII.

POWRÓT DO TOBOLSKA.

Mając tedy zapłacone konie i inne zapasy, pożegnawszy się z niektóremi osobami, ruszyłem w dalszą podróż do Tobol-

ska. Jeden z tamecznych obywateli dał człowieka, abym go zawiózł do miasta Moskwy, z którym miałem wielki ambaras i nieszczęście. Byłto pijak w najwyższym stopniu, na kilku stacjach namawiał zwoszczyka, aby mnie mogli zabić. Ja będąc ostrzeżony a nie mając innego sposobu pozbycia się tego hultaja, na jednej stacji upoiwszy go wódką, gdy zasnął porzuciłem go.

I już byłem sam jeden bez sługi aż do Tobolska. Rzadko gdzie na stacjach nocowałem, bo gdy do ciepłego domu z zimna wszedłem, spazmy moje powiększały się. Miałem dość dużą swoję własną kibitkę, dwa wory wypchane mchem i kołdry ciepłe jelenie.

Do trzech tysięcy wiorst od Irkucka do Tobolska trzeba iść samemi lasami błotami. Mosty są wciąż kładzione z drzewa krągłego; trzęsło nie do wytrzymania. Później wyjechałem na wielką płaszczyznę, co zowią *Barabińskim stepem*. Pozycja i widoki są nieporównanej piękności; ziemia bardzo żyzna, całkiem prawie okryta trawą czerwoną i solą białą, która występuje z ziemi. Kolonje rzadkie, ale bardzo bogate, z ludzi na zsyłkę posłanych i tam rozmnożonych; jeziora niezliczone i rzeki bardzo rybne; w koło jezior topole jak gdyby ręką ludzką zasadzone; kwiatów i traw bardzo wiele pachnących. Jeziora te są napełnione różnego gatunku ptastwem: najwięcej jednak znajduje się pewien rodzaj z wielkości podobien do naszych łabędzi: są to ptaki czarne, pstre z dużemi gardłami. Pływają w jednej linji niezmiernemi stadami, a poczepiawszy swe nogi pędzą ryby do brzegu, poczém bijąc skrzydłami i wrzeszcząc, wypędzone ryby połykają. Czajek białych także mnóstwo, że przelatując z dnia noc robią. Ich skrzydła są osobliwszej wielkości: zowią te czajki siedmiosążniowe, ale ja nie znalazłem nad dwa sążnie długości.

Na tej pozycji widać wzgórki bardzo wyniosłe, drzewami od natury przyozdobione. Gdzieniegdzie są groby, w których znachodzą wielkie kawały kości słoniowéj; posągi robione na podobieństwo człowieka i wiele bardzo wojennego różnego żelaztwa, ale nikt nie wie z tamecznych o żadnéj tradycji.

Przybyłem do Tobolska gdzie mnie u rogatek zatrzymano, wzięto paszport i w pół godziny podług mej rangi wyznaczono kwaterę. Dałem dwa piętaki żołnierzowi od policji, aby mi wyznaczył kwaterę prywatną kapralską, gdyż zupełnie w mojej chorobie i więzieniu odwykłem od tumultu ludzi.

Był to dom szewca, na dole sam mieszkał, a na górze bardzo porządny pokój cały w obrazach i przed obrazem Matki

Boskiej dzień i noc paliła się lampa. Gdy wszedłem z zimna do domu ciepłego, dostałem nadzwyczajnych spazmów odchodząc od przytomności. W tem pomieszaniu przychodzi mi na myśl, że tu dobrze umierać : wołam więc gospodarza, daję mu pięć rubli asygnacyjnych, kładę się w oczach jego na wznak, złożyłem ręce powiadając : biegaj po Popów, gdyż ja konam.

Gospodarz przestraszony i niezbyt rozumny, oznajmił Popom, że ma w domu nieboszczyka. W pół godziny przyszło trzech Popów z asystencją w kapach z trybularzem i Ewangielją. Tymczasem, nim Popi nadeszli, spazmy się umniejszyły, lecz pozostałem w mojej pozycji. Wchodząc do kwatery, zaczęli śpiewać, pytając się gdzie jest nieboszczyk? usłyszawszy to, wstaję i mówię, że ja jestem. Prosiłem ich, aby mi prześpiewali Ewangielję, poczem zacząłem płakać i polepszyło mi się. Poczęstowałem popów herbatą z arakiem, i odeszli.

Znajdowało się w tem mieście kilku naszych Polaków posłanych przez Pawła : Kondratowicz, Grabowski, Paździerski z Litwy i kilku z Wołynia. Odwiedzili mnie, bo im wolno było wszędzie chodzić, byleby na noc do swych miejsc wracali. Był wówczas Gubernatorem Koszelow; człowiek osobliwszej dobroci i moralności. Codzień przez kilka dni bywałem na objadach u niego, pożyczył mi rubli asygnacyjnych 300, bo już nie miałem żadnego zapasu, a które za przybyciem do ojczyzny z największą wdzięcznością odesłałem. Pożegnawszy moich rodaków i dostawszy od nich kozackiego chłopca, z którego miałem wielką pomoc w drodze, i który przez ośm lat mi służył, udałem się w dalszą podróż.

Opisanie Tobolska.

Miasto w którem liczą do czterech tysięcy domów, kilka cerkwi murowanych i zamek opasany wałami na wyniosłem miejscu, ale to wszystko rudera, zniszczone przez Puhaczwa. Rządcą jest Gubernator i wszelkie magistratury, jakie są w Rossji, tu znajdują się. Biskup na czele Duchowieństwa; kupców bardzo wiele, lecz towary ordynaryjne któremi handlują : mydło, żelaztwa, różne galanterje, płócienka, łoje i ubiory dla tamecznych różnych mieszkańców. Najwięcej przebywa tam narodów tatarskich, Moskali i wielu poosadzanych na zsyłkę.

Wszystkie ulice mają mosty, a domy drewniane stoją na bardzo wysokich palach, dla tego, że dwie rzeki ogromne To-

boła i Irtysz koło samego miasta płyną. Za wezbraniem wody wszystkie ulice zalewają, i domy pobliższe znoszą. W okolicach Tobolska zamieszkały narody różnych Tatarów, którzy uprawiają ziemię, żyta mało sieją, najwięcej jarzyny. Frukta tu żadne nie rodzą się dla zimna wielkiego. W tem mieście mieszka także wiele osób dystyngowanych z familjami, którzy wygnani są raz na zawsze. Nie zostają atoli pod żadną strażą : niektórzy są obróceni do robót, inni zaś siedzą zamknięci pod sekretem, o których tylko wie Gubernator i komendant.

Ci tedy są najnieszczęśliwsi, bo nie widzą światła dziennego, ani towarzystwa ludzi. Im dalej w głąb Syberji, tem większa subordynacja i kary dla występców. Komendanci tam są bożkami, bo w ich ręku życie bez dalszej apelacji. Obywateli zaś żadnych nie ma, tylko sama horda, ciemni Moskale i niewolnicy.

Przez wiele bardzo kolonij jechałem do Kazania : zaludnione są niewolnikami posłanymi na zsyłkę. Dotąd jeszcze zostają ślady Puhaczewa; na każdem albowiem miejscu widać stosy armat żelaznych i różnego rynsztunku wojennego. Wszystek lud tameczny był za nim. Gdyby się był potrafił dostać do Moskwy, Państwo Rossyjskie byłoby zachwiane; ale zdradzony w końcu od swoich faworytów, został wydany Jenerałowi Michelsonowi. Wiele on bardzo szlachty i Panów okrutną śmiercią pomordował. Przeszło trzykroć sto tysięcy miał za sobą różnego tłumu, i to za nim jak obłok sunęło się, a miasta i zamki poddawały się wnosząc mu wszystkie skarby. Księża z monstrancjami wszędzie go witali, przyznając go za Piotra II, chociaż był tylko Kozakiem.

Blisko Kazanu znajdują się fabryki miedziane i żelazne, z których naczynia najwyborniejsze i żelazo najlepsze po całej Rosji rozchodzi się.

Najznaczniejsza kolonja ponad rzeką Wołgą jest *Wasilow Ostrow*, którędy przejeżdżałem i dwa dni bawiłem. Składa się ona z kilku set domów bardzo porządnych. Mieszkańcy tameczni są dość bogaci. Kolonja ta należała do Carewicza Gruzinów, który sam w tem miejscu mieszkał, mając najpyszniejsze pałace i najgustowniejsze ogrody. Było to niegdyś państwo oddzielne, ale Moskwa je podbiła i familję znaczną wytępiła.

Ten ostatni szczątek siedzi w domu ; nie był w służbie wojskowej, bo trochę ułomny. Żyje prawie po królewsku, ludzi trzyma mnóstwo koło siebie i poddani jego bardzo są szczęśliwi.

Gdy nocowałem w tej kolonji nazajutrz przyszedł Marszałek dworu prosząc mnię na obiad. Poszedłem w porze zwyczajnej, gdzie zastałem gospodarza bardzo grzecznego i uprzejmego dla mnie; kobiet bardzo wiele pięknych i w najpierwszym guście ubranych; stół bardzo pyszny w dekoracjach; fruktów najprzedniejszych mnóstwo; wina najwyborniejsze i co tylko w najpierwszym domu znaleźć się może. Przepędziłem u niego prawie dzień cały opowiadając mu o moim wojażu i mapę moją prezentowałem, o którą prosił aby u niego dla przepatrzenia została do dnia następnego. Pożegnawszy się z nim, odszedłem. Nazajutrz odesłał mi mapę i przysłał wielką krabę różnych żywności i wina. Tak zaopatrzony, ruszyłem w dalszą podróż do Moskwy. Książe ten Gruzinów na przejazd Pawła kazał zrobić most kosztowny na dwie mile, którym Paweł nie chciał jechać nie będąc kontent z osoby.

ROZDZIAŁ XVIII.

POWRÓT DO OJCZYZNY.

Dzień i noc jadąc sankami stanąłem w Moskwie. Na ostatniej stacji spytawszy się zwoszczyka do jakich oni domów zawożą pierwszych pasażerów, zainformował mnie, że dwa domy są najpierwsze w Moskwie : jeden hotel Stambulski, drugi Francuzki. Kazałem mu prosto jechać do Francuzkiego. Wszedłszy na kurytarze apartamentów, wpadłem w oczy samejże gospdyni, więcej dla moich ubiorów jakie miałem na sobie. Prosiłem jej o pokój jeden, który mi natychmiast wyznaczyła. ciepły i bardzo porządny, powiadając, że to kosztować będzie ze stołem, pora jedna, rubli pięć asygnacyjnych. Nie zostawało u mnie całego zapasu nad piętnaście rubli asygnacyjnych, myślałem zawsze, że w tak wielkiem mieście znajdę kogoś co mi pożyczy.

Gospodyni wzięła odemnie paszport i wypytywała się o mojej historji, co też wkrótkości opowiedziałem. Nazajutrz odwiedziła mnie znowu z ostrzeżeniem, abym się chronił wszelkiej konwersacji z kimkolwiek. coby do mnie przyszedł a szczególniej, abym się wystrzegał Polaków, co niezmiernie duszę moję przeraziło.

Kiedym widział tak poczciwą Francuzkę, zwierzyłem jej się, że jestem bez zapasu żadnego pieniędzy : odpowiada mi na to, że dopóki tu zabawię nic mnie kosztować nie będzie, i

daje mi sto rubli asygnacyjnych. Dziękuję jej uprzejmie, a chcąc wiedzieć o dobroczyńcy i komu mam być wdzięcznym pytam o jej imię, lecz odpowiedziała, że tego wiedzieć nie mogę.

Na trzeci dzień kazano mi się stawić do policji, gdzie prezydował Jenerał Kaweryn. Ten wziąwszy mnie w swój pojazd zawiózł do Jenerał-Gubernatora Xięcia Sołtykowa, z pod którego ja komendy wyszedłem z Ukrainy z brygadą. Mówił do mnie po polsku z największą grzecznością. Czynił mi też wymówki przed wszystkimi tam będącymi jenerałami, że on za mnie bardzo był prześladowany od Katarzyny II, iż dopuścił wojskom polskim zrobić zamięszanie i przebić się przez całą ich armję : bo za moim przykładem wyszły jeszcze dwie brygady, Łaźnińskiego przez Dniepr i Wołoszczyznę, Wyżkowskiego tąż drogą którędy ja szedłem, i pułk konny lekkiej kawalerji.

Książe Sołtykow prosił mnie na obiad i pozwolił dni kilka w Moskwie zabawić.

Po upływie tego czasu pożegnałem zacną i szanowną Francuzkę i przedsięwziąłem dalszą mą podróż do kraju. Widziałem też w Moskwie jenerała naszego Niesiołowskiego, który był posłany przez Pawła, będąc oskarżonym od Moskalów za zbytni zapał do swojej ojczyzny.

Miejsca znaczniejsze mi pokazano, miasta samego nie opisuję, gdyż wszystkim jest prawie najlepiej znane.

Skąd przez Ruś, Mińsk przybyłem do Wilna i zajechałem prosto do domu pocztowego. Gospodarz poznawszy mnie, skrył za parawan ostrzegając, że ludzie będą się skupiać, ponieważ byłem w sukni kamczackiej zimowej, bo innego futra nie miałem.

Bawiłem w Wilnie dwa miesiące, aż nadszedł rozkaz Pawła I, żeby wszystkich cudzoziemców z kraju wypędzić. Było to powiedziane do francuzkich emigrantów, i księży trapistów. Ja, żem się podał w paszporcie jako mieszkaniec Galicji, byłem równie wzięty za cudzoziemca i z konwojem odesłany na Wołyń do Uściługa nad rzeką Bugiem do kordonu, gdzie wówczas stał z wojskiem Jenerał-Gubernator Podolski Gudowicz. Ten mnie zatrzymał mówiąc, że tak złośliwych ludzi nie wypuszczają za granicę : musi to być omyłka, więc uczynię raport do Monarchy, czy możesz z kraju wyjechać; prosiłem go, aby moją prośbę do Monarchy przyłączył, na co chętnie zezwolił a mnie kazał mieszkać w mieście Dubnie za inspekcją niższego sądu, abym się nigdzie nie oddalał dopóki nie nadejdzie rezolucja z Petersburga.

W tym czasie przybywszy do tegoż miasta Tadeusz Czacki starosta Nowogrodzki, zaręczywszy Sąd niższy wziął mnie do siebie. Dom ten zacny i poważny, w którym znalazłem wiele osób poważnych i uczonych. Sama z Dembińskich Czacka najmoralniejsza i najpiękniejsza osoba, a przy tem dobra Polka. To miejsce było mi rajem, bo tak serdecznie i czule byłem przyjmowany, że nigdy o nich bez wdzięczności wspominać nie mogę.

Wyrobił dla mnie Tadeusz Czacki w komisji Warszawskiej od trzech dworów wyznaczonej do oblikwidowania długów królewskich, za rangę brygadjera podług rekonesansu zapłatę. Byłem mu najwdzięczniejszy za jego staranie, ale pieniędzy brać nie odważyłem się za stopień krwią i zasługami nabyty, chociaż nie miałem żadnego funduszu do utrzymania mojej exystencji, czekając powrotu ojczyzny. Pragnąłem pokazać przez to rodakom moim, że nieszczęście i ubóstwo nie powinno odmieniać sposobu myślenia, zwłaszcza, że widziałem wielu obok siebie nieszczęśliwych z upadku ojczyzny.

Później bawiłem w domu Alexandra Chodkiewicza, dobrego Polaka i moralnego człowieka. Tam spędziwszy czas niejakiś, miałem szczęście być za przyjaciela przy jego związku małżeńskim z Walewską, wojewodzianką Sieradzką. Osoba młoda, piękna, talentów wiele posiadająca. Razem z siostrą swoją Bierzyńską ofiarowały mi najprzyjemniejszy park w lesie Czarnym, ośm włók ziemi, z sadem fruktowym, mieszkaniem i całem gospodarstwem, gdzie przez lat kilka przebywałem. Już to było po śmierci Pawła I, więc mogłem wyjeżdżać za granicę do wód, skąd znowu wracałem do mojego lubego siedliska. Później przybyło do mnie kilku moich żołnierzy ranionych, których znałem z odwagi i przywiązania. Przytuliłem onych do siebie, przeznaczywszy jednych do roli, drugich do sadzenia drzew z którymi i sam pracowałem, innych do gospodarstwa wnętrznego a niektórych do utrzymania straży domowej, gdyż to miejsce było w lesie od wsi i wiosek oddalone.

Przebywszy w samotności i smutku po utracie ojczyzny lat kilka, zapędziłem się do Petersburga dla dojścia sukcesji lennej na mnie spadającej po moim krewnym. Lecz nic pomyślnego nie wskórawszy, straciłem na koszta podjęte moją przyjemną pustynię i powróciłem do kraju gdzie później zostałem złożony dwuletnią chorobą.

Roku 1810. w Marcu.

Mieszkałem czas niejaki przy moim krewnym u którego mi na niczem nie zbywało, przy chorążym Lilęwskim, Tomaszu Wawrzeckim, znajomym krajowi z cnót i gorliwości dla ojczyzny. Był on wybrany po Kościuszce naczelnikiem narodu : teraz czynny jest dla kilkudziesiąt opiek i dla nieszczęśliwych. Imperator Alexander I, wybrał go do nowéj magistratury, dla oblikwidowania w kilku gubernjach izb skarbowych, względem weszłych funduszów tak pojezuickich, jako obywatelskich podatków od ostatniego zaboru Polski.

Po zawarciu Tylżyckiego pokoju, opuściwszy Litwę dążyłem ku Ukrainie, licząc w tamtych stronach dom przyjacielski za mój własny, gdzie postanowiłem w zaciszu i życiu prywatnem oczekiwać jeszcze powrotu ojczyzny i cieszyć się tą nadzieją, która nas już tyle razy zawodziła.

Przejeżdżając przez Nieśwież którędy trakt mi wypadał, na moje szczęście książe ordynat Dominik Radziwiłł dowiedział się o mnie i zaprosił do swojego domu z największą uprzejmością. Jako dobry Polak, mając czułe i dobre serce, ofiarował mi folwark, który musiałem przyjąć i dziś utrzymuję się z niego. Muszę oddać Księciu tę sprawiedliwość znając go z bliska, że dla ojczyzny majątku i życia nie szczędzi.

Obywatel zaś na Ukrainie do którego jechałem, nazwiskiem Tadeusz Pawsza, został wygnańcem i postradał cały majątek. Jego żona, najzacniejsza osoba z domu Lubańska, tyle czyniła wydatków i tyle pokazała zapału w ratowaniu ojczyzny, ile prawie żaden z tamecznych obywateli. Kobiecie tak wysokiemi talentami i przymiotami duszy ozdobionej, wszystko się udawało.

KONIEC.

Paryż, w drukarni braci Rouge, Dunon i Fresné, ulica du Four Saint-Germain, 43.

SPIS RZECZY.


RÓWNOŚĆ
CAŁOŚĆ
WOLNOŚĆ
Smoleńsk
Wilno
Poznań
WARSZAWA
POLSKA
Kraków
Lwów
Kijów
Karpaty
Boh.

25,-

DZIEŁA DOTĄD WYDANE

Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego, przez Adama Mickiewicza.
Pamiętnik półku jazdy wołyńskiej 1831 r. przez Karola Różyckiego.
Mowa o narodowości Polaków i posłanie do braci wygnańców, K. Brodzińskiego.
Artykuły pielgrzyma, Adama Mickiewicza.
Psałterz Dawidowy, Kochanowskiego, t. 2.
Marja, powieść ukraińska, Malczewskiego.
Wzywanie do pokuty, przez Piotra Skargę.
Dziennik podróży Józefa Kopcia.
Wiesław i pieśni rolników, Brodzińskiego.
Początek i progres wojny moskiewskiej, przez Stanisława Żółkiewskiego.
Threny, Satyr i Wróżki, Kochanowskiego.
Wspomnienia z czasów wojny narodowej polskiej 1831 r. i Sonety wojenne przez Stefana Garczyńskiego.
Pamiętnik oblężenia Częstochowy 1655 r. przez ks. Augustyna Kordeckiego, t. 2.
Konrad Wallenrod, Adama Mickiewicza.
Zamek Kaniowski, Seweryna Goszczyńskiego.
Duch od Stepu, Bogdana Zaleskiego.
Kantyczki. (Według wydania 1785 roku.)

—oo—

Każde dzieło sprzedaje się osobno po 25 centymów, a z przesyłką po 30 centymów.
Na papierze bardzo cienkim . . . . 50 c.

Odbito kilka exemplarzy na papierze welinowym z tytułem kolorowanym . . . . . . 5 fr.

Zapisujący się na drugą serję z dwudziestu tomów złożoną w cenie 6 fr., otrzymywać będzie każdy tom franko w miarę ich wychodzenia z pod prassy. — Biorący 100 exemplarzy jednego dzieła, (cena 25 franków,) będzie je miał również franko odsyłane.

W druk. braci Rouge, Paryż, u. du Four-St.-Germ. 43.